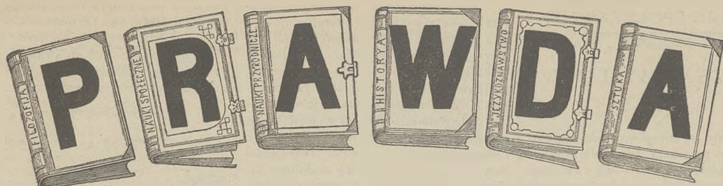
Nr. 34. Warszawa, dnia 10 (22) Sierpnia 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



W SOFII.

Dawno już, trzy miesiące temu, donoszono ze wszystkich stron o zamiarze Naczowicza, bulgarskiego ministra handlu, usunięcia się z urzędu. Był to nietylko zamiar, ale już i czyn; minister bowiem podróżującemu wówczas po Europie księciu Ferdynandowi przesłał prośbę o dymisyę, w formie nieurzędowej wprawdzie, bo na nią podróżnictwo książęce nie pozwalało, ale dość wyraźnej, aby książę o pewnym stałym fakcie woli swego pomocnika w rządzie wątpić nie mógł. Wypadek zwrócił uwagę powszechną. Mało znaczy w polityce minister handlu, ale dużo znaczył Naczowicz w polityce bulgarskiej. Był przez długi czas kierownikiem spraw zagranicznych.

Po powrocie księcia Ferdynanda do stolicy z zacisza klasztoru rylskiego, zamiar Naczowicza wystąpił już w urzędowej a nieodwołalnej postaci, wzmocniło go zaś objawione na radzie rządowej postanowienie książęce, aby napowrót przyjąć do służby wydalonych z niej, dobrowolnie raczej wypadłych, oficerów armii za księcia Aleksandra w roku 1886: Benderowa i Grujewa. Książę przedtem już dawał poznać swój zamysł wcielenia obu oficerów, i wielu innych jeszcze, w szeregi wojska. Wówczas Petrow, minister wojny, kolegom swoim oznajmił, że w razie urzeczywistnienia zamysłu i on także usunie się z rządu. Objaw woli książęcej dał mu znak, że i na niego czas przyszedł: nie jedno tedy, ale dwa podania się do dymisyi naraz znalazł książę w swym gabinecie dnia 12 lub 13 b. m.

Żadne z tych żądań nie było dla niego niemiłem: obu ludzi pragnął się pozbyć jako niedogodnych. Ale pomiędzy jedną a drugą dymisyą była różnica. Ustąpienie Naczowicza mogło już być czysto indywidualnem — gabinet Stoiłowa oswoił się z niem, uznał je za konieczność; ustępujący Petrow musiałby pociągnąć za sobą i całe ministeryum, którego prezes zwłaszcza z nim się zsolidaryzował i na wszelki przypadek zasadniczo postawił księciu kwestyę dymisyi ogólnej. Przed takim przewrotem już, a nie zmianą, ks. Ferdynand na razie się cofnął — i w zamian za ustępstwo ze swej strony uprosił Petrowa do pozostania na urzędzie. Pozostali więc wszyscy, z wyjątkiem Naczowicza, którego dymisyę już ogłoszono, a następcą tymczasowym ma być Geszow, minister skarbu.

Nie jest to rozwiązanie wątpliwości, załagodzenie sprzeczności, podmurowanie rządu, zmiana programu, bez nowego jakiegoś prądu w ogólnej polityce księcia Ferdynanda niemożliwa, ale wprost chwilowe tylko zalepienie szczeliny, która w budynku została i budynek ten zburzy. Dni gabinetu Stoiłowa są już policzone. Książę już się nie cofnie i przeprowadzi co chce. Postępując tylko zręcznie, chce sobie pierwej nowe ministeryum za plecami starego, dzisiejszego, które mu się już zużytem wydaje, zbudować, a gdy już mieć będzie, pożegna ministrów. Prawdopodobnie dobierze sobie ludzi, którzy utorują drogę Cankowowi i Karawelowowi, dwom ludziom chwili, dwom, do których ciągnie ks. Ferdynanda jego serce i jego rozum stanu. Te dwie opory już ma; potrzebuje jeszcze zapewnić sobie trzecią — armię. Armia jest kluczem w sklepieniu jego polityki.

Tydzień polityczny. Ks. Hohenlohe nie poszedł ale poszedł gen. Bronsart von Schelledorf, minister wojny — a razem z nim przepadła i reforma procedury wojskowej i samego prawa karnego w cesarstwie niemieckiem. Na miejsce dawnego nowym ministrem jest gen. Gossler, syn niegdyś ministra oświaty w Prusiech, kreatura dość mizerna, bez znaczenia. Wszystkiem będzie teraz szef gabinetu wojskowego, gen. Hahnke, tj. sam cesarz Wilhelm.

Lordowie angielscy poszarpali bil rolny dla Irlandyi rozmaitemi poprawkami, korzystnemi dla landlordyzmu; ale gdy im Salisbury ukazał widmo dymisyi, a Izba gmin odrzuciła poprawki, ulegli, zrzekli się swych praw, swego rozumu i swej konieczności — i przyjęli bil w postaci nadanej mu przez gminy. Stało się to już d. 13 b. m. Nazajutrz rozjechali się wszyscy na polowanie, na kontynent, lub do Szkocyi. Parlament jest wszakże tylko odroczonym i zebrać się ma 31 października, a gdyby go rząd na ten czas nie zwołał — d. 12 stycznia, na nowy już okres.

Francya na Madagaskarze ma coraz więcej do roboty: wysyła urzędników, oficerów, służbę sanitarną. Powstanie wcale nie uśmierzone, owszem raczej się szerzy i ogarnia ciche dotychczas południe wyspy.

Słynna blokada p. Gołuchowskiego wpadła w głęboką wodę, z której już on sam jej nie wydobędzie. Mocarstwa zaczynają blokować, nie Kretę, ale Wysoką Portę o ustępstwa większe nawet od halepskich. Rząd narodowy czeka jeszcze, aby wystąpić zbroj[illegible]

W Macedonii powstańcy, choć nieliczni, porozpraszani, trzymają się jednak, wytwarzając materyalną przynajmniej symbolikę dla praw narodowych. Padyszach tymczasem — targuje się o majestat swej władzy, nie czując nawet tego, że już nietylko majestatu, ale i władzy samej rzetelnej nie ma, a za lat jaki dziesiątek wraz z państwem swojem europejskiem będzie już tylko wspomnieniem.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

O CZEM MYŚLIMY.

Znowu wynurzył w prasie swą głowę projekcik założenia w Warszawie przytułku dla zwierząt bezdomnych. Sądziliśmy, że jest to wąż morski, który zubożała, nieraz prawie zrozpaczona z braku lepszych nowin reporterya puszcza na wody dziennikarskie podczas lata. Ostatnio wszakże wiadomość ta zjawiła się w tak określonej formie, że niepodobna już o niej wątpić. Ma być więc istotnie otwarte schronisko, czy też szpital, do którego „na początek przyjmowane będą psy i koty." Nie myślimy ani badać, ani odgadywać, jakim sposobem czułe dusze zarządu tej filantropijnej instytucyi dowiedzą się od przelatującego psa lub kota o jego stanowisku w świecie i stanie zdrowia, a nawet wogóle jak tego inwalidę, sierotę lub tułacza złapią. Trzebaby tu bardzo bujnej wyobraźni; bo skoro kandydaci gazet nie czytają, o założonym dla nich przytułku nie dowiedzą się i sami do niego się nie zgłoszą, chyba więc czcigodni ich opiekunowie będą musieli chwytać je w pętlice i sidła na ulicach i dachach. Ale to ich sprawa, której rozwiązania nie poważymy się ułatwiać, a może utrudniać im narzuconą radą. Naszą rzeczą jest tylko postawić ten projekt, wylęgły prawdopodobnie w czułej atmosferze ubóstwianych mopsów i wystrojonych pinczerów, obok wielu innych, których tu wyliczać nie będziemy, a którymi próżniaczy i bezmyślny sentymentalizm zasłania przed społeczeństwem kwestye pierwszorzędnego znaczenia. Jest to wogóle typowem znamieniem naszej — mówionej i pisanej — opinii publicznej, że ona w zupełnej zgodzie ze swym rodzajem gramatycznym bywa zwykle niewieścią, to znaczy: rzadko dla swej myśli wybiera przedmioty poważne i rzadko je traktuje po męzku — trzeźwo, krytycznie, gruntownie. Jak histeryczka, jak skwaśniała lub rozczulona stara panna, żyje paroksyzmami nieusprawiedliwionych gniewów lub wesołości, wpada w kaprysy i sentymentalne uniesienia. Dziś widzi skrystalizowaną swą sławę w aktorce, jutro napawa się narodową chwałą wędrującego po zagranicy śpiewaka, to znowu przypisuje doniosłe znaczenie sądowi jakiegoś pośledniego dziennikarza o znakomitych pisarzach naszych, traci zmysły, opowiadając o wyścigach koni, cyklistów lub wioślarzów, urządza zapamiętałe naganki na bale, rozprawia szeroko o byle koncepcie na temat „dobra społecznego" i t. d. Natomiast sprawy wielkiej wagi, przedsięwzięcia, głęboko sięgające w splot interesów społecznych, czyny i fakty, wchodząco do rachunku odległej przyszłości, budzą w niej tylko skłonność do ziewania. Z wielu dowodów przytoczymy jeden. Przed kilku tygodniami zapuszczono do Wisły nowy smok wodociągowy. Zdawałoby się, że wypadek ten, zarówno ze względu na kosztowność i trudność, jak na pożytek dzieła, zajmie prasę, a za nią publiczność. Bynajmniej. Zanotowano go tak sucho i krótko, jak jeden ze „szwanków," którymi codzień roi się każdy *Kuryer*.

Wiemy, że istnieje koło błędne: prasa mówi o tem, co zajmuje jej czytelników, a czytelnicy myślą o tem, o czem mówi prasa. Sądzimy wszakże, że przynajmniej do pewnego stopnia można narzucić czytelnikom przedmioty do rozważań. Jeżeli zaś tylko pielęgnowano są ich nałogi do zaprzątania się drobiazgami, albo też jeśli te skłonności są w nich wytwarzane, najdonioślejsze kwestye muszą przechodzić mimo uwagi ogółu lub też nie przyciągać jej w pożądanej mierze. Rzeczywiście tak się dzieje u nas. Co poważne — to nudne, a co dziecinne — zajmujące. Można nie przerażać się tymi objawami w pojedynczych wypadkach, ale ich masa zabagnia życie umysłowe i społeczne.

REFORMA POCZT.

Podobno zarząd pocztowy gotuje dalsze reformy, uwzględnić mające wygodę publiczności. Przy tej sposobności dziennik *Nowosti* rozważa obecne braki dotkliwe tej doniosłej społecznie instytucyi. Największą wadą urzędu pocztowego jest ta, że on nie posiada należytej sprawności w przyjmowaniu i wydawaniu korespondencyi. Bo też i promień czynności każdej poczty zajmuje rażąco dużą przestrzeń 50 wiorst. Można sobie wyobrazić, jak to ujemnie wpływa na szybkość obiegu listów i przesyłki gazet, których wartość informacyjna wietrzeje, a więc tem samem, jak to oddziaływa na pośpiech wymiany myśli i uczuć i jak dalece z tego powodu „społeczny czas psychologiczny," rzeklibyśmy, staje się dłuższy. Nic też dziwnego, że zwłaszcza u ludności wiejskiej przedpotopowy zwyczaj przesyłania listów „przez okazyę" nie zanika, lecz trwa dalej. Upośledzenie to daje się tem dotkliwiej jej uczuwać, im ona bardziej posuwa się w oświacie i zapotrzebowaniu usługi poczt. Dochody tych ostatnich także cierpią na tem. Niedawno czynności pocztowe zaczęły spełniać stacye kolejowe i urzędy gminne. Ale wszystko zależy od sumienności urzędników kolejowych i gminnych, bo za punktualne i w czasie właściwym doręczanie korespondencyi ani koleje, ani urzędy gminne nie odpowiadają. Od adresata zaś ściągane są bardzo wysokie opłaty. Zresztą nie należy zapominać, że zarządy gmin są organami wyłącznie włościańskimi, utrzymywanymi z funduszów włościańskich. Jeżeli więc obarcza się je dodatkowem brzemieniem obsługi pocztowej, to tem

---

5)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

IV.

Ci, którzy znają kobiety słowiańskie, a widzą je z dostatecznej odległości, nie pozwalającej zapuszczać się zbytnio w szczegóły, odróżniają wpośród nich dwa typy. Do jednego z nich należą owe ogniste lub sentymentalne, pełne, leniwe, nęcące kobiety o czarnych lub mieniących się szarych oczach, miękkie o miękkich ustach, które chętnie się śmieją i chętnie jedzą, o jakimś nieokreślonym ujmującym uroku, o ruchach takich, jak gdyby nie podnosiły się nigdy z miękkiej pościeli, o szczebiotliwej gadatliwości, mogącej przejść równie prędko w najsłodsze przymilenia, jak i w najbrzydszą wściekłość — słowem, kobiety najbardziej kobiece, nieprzewidziane w dobroci serca, jak i w kaprysach, bezczynne i zmysłowe, kochające się i wzbudzające miłość w kochliwych mężczyznach. Do tych Kowalewska nie należała. Drugi typ — to najzupełniejsze przeciwieństwo. Tworzą go kobiety uczciwe, te, które najłatwiej określić mianem „bons camarades" przyzwoite, jasne, odważne, energiczne, silne duchem i ciałem, o myślących głowach, chudych kształtach, bez owych wydatnych linij, będących właściwością połowy kobiet rosyjskich, o twarzach żółtych zazwyczaj, trochę gąbczastych; mają w sobie coś, co nawet najwybitniejszym wpośród nich odbiera czar zmysłowy, a co nazwałabym bezwonnością. Patrząc na nie, człowiek nie czuje, że ma przed sobą kobiety. I one same nigdy, lub też bardzo rzadko myślą o tem, że są kobietami. Zwykle żyją dla pracy, dla zawodu, dla idei. W ekstazach umysłu znajdują to wszystko, czego im nie dostaje, jako kobietom i ludziom kulturalnym.

Lecz jest to typ nietylko rosyjski — to także typ epoki. W Szwecyi kobiety takie stanęły do walki o prawa kobiet, w Anglii — agitują za czynnem i biernem dla siebie prawem wyborczem, w Ameryce — tworzą kluby, w Niemczech — są wychowawczyniami. Typ to ogólny i tylko stosunki każdego kraju stanowią o mani, w którą wpadnie i którą zwie natenczas „swojem powołaniem."

Do typu tego zaliczyć musimy Kowalewską. Sama się do niego liczyła. Całem życiem swojem dowiodła i utwierdziła swoją doń przynależność. Sposób, w jaki reagowali na nią mężczyźni, jest jednym dowodem więcej. Znała mnóstwo mężczyzn — najwybitniejszych, najbardziej uzdolnionych w Rosyi, Skandynawii, Anglii, Niemczech, Francyi i Włoszech; wszyscy oni w towarzystwie jej dobrze czas spędzali, lecz żaden nie zakochał się w niej impulsywnie. Z pośród tysiąca ani jeden nie powiedział do niej: „Żyć bez ciebie nie mogę!"

Należała tedy do gatunku kobiet, w których widzi się tylko mózg. Uważano ją za przynależną do tego gatunku. Była jego tarczą, sztandarem zwycięskim, najwyższym jego tryumfem. Orzeczono, że nie potrzeba jej niższych rozkoszy — w wiedzy miała rozkosz najwyższą; miała katedrę i uczyła mężczyzn. Nie przeczyła tym poglądom, sama przecież wyznawała je, dążyła do stwierdzenia ich, żyjąc pod nędznym płaszczem pozornego małżeństwa, podczas długich, mozolnych lat naukowej pracy.

Uważano, że jest geniuszem - kobietą o mózgu męskim, że urodziła się po to, by dźwignią być i wzorem dla mózgów sióstr swoich.

Ha, — była taką i taką nie była! Czuła i nie czuła się taką! Ostatniemi latami życia zadała kłam całemu poprzedniemu swemu istnieniu, i usunęła się od niej obrażona gromada sióstr. Gdyby nie te ostatnie lata, oddawna wyciągniętoby ręce po składki na pomnik dla niej. Lecz dziś— to już nie uchodzi. Dziś tylko milczeć wypada.

Bowiem była kobietą, była nią mimo wszystko, — mimo dziesięcioletniego fi-

zwiększa się wydatki, obciążające lud wiejski. Tymczasem prawidłowy rozwój urządzeń pocztowych jest zarówno niezbędny dla wszystkich, bez różnicy sfer społecznych. Niesprawiedliwem byłoby zatem zrzucać wydatki na jedną tylko klasę ludności. Co innego, gdyby wzamian za zwalenie czynności pocztowych na barki gmin chłopskich, wydatki wziął na siebie urząd pocztowy. To samo stosuje się i do stacyj kolejowych. „W razie, gdyby urząd pocztowy ponosił koszty—piszą *Nowosti*—w urzędach gmin i na stacyach kolei możnaby zorganizować wydawanie nietylko korespondencyi prostej, ale i posyłek wartościowych oraz pieniężnych." Bardzo słuszna uwaga!

Drugą, również konieczną, reformą byćby powinna zmiana systemu przesyłania pieniędzy przez zastosowanie przekazów pocztowych. Dziś bowiem znaczna ilość pieniędzy, wycofana z obiegu, leży bez użytku całymi tygodniami i miesiącami w listach, zaklętych pięciu pieczęciami i stosem dokuczliwych formalności, z jakiemi odbiór jest związany. A urzędy pocztowe czy na tem zyskują? Przeciwnie, bardzo znaczne wydatki muszą ponosić na konwojowanie korespondencyi pieniężnej. Na Syberyi i Kaukazie używa się do tego oddziałów żołnierzy, a pomimo to wypadki znikania listów pieniężnych zdarzają się często. A jednak przekazy pocztowe usunęłyby wyśmienicie wszystkie te niedogodności. Porozumienie się urzędu pocztowego z Bankiem państwa umożliwiłoby wypłacanie przekazów we wszystkich miejscowościach, gdzie wydawane są obecnie listy pieniężne. W r. b. przekazy pieniężne na miasta wydawać zaczęły kasy oszczędności pocztowe. Sumy, składane w kasach oszczędności tam, gdzie niema kas skarbowych, mogłyby służyć do wypłaty przekazów pocztowych. Bardzo trafne jest spostrzeżenie, że starodawny, dziś obowiązujący jeszcze ludność, sposób przesyłania pieniędzy, okaże się daleko większym hamulcem, narażającym na straty i niewygody zarówno same poczty, jak i średnią klasę społeczeństwa — z chwilą, gdy papierowy obieg monety zastąpiony będzie metalicznym. Wobec tej możliwości wprowadzenie przekazów pocztowych nabiera tem większej wagi.

Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że żywiołowy napór wartkich fal życia społecznego, wciąż biegnącego naprzód, pomimo rażącej niewspółmierności z zasadniczymi warunkami, których łożyskiem danem mu jest toczyć swe nurty, rozepchnie przeżyte ramki — tak jak wzmożona rozwojem stosunków ekonomicznych miejscozmienność ludności wywołała już postępową zmianę w osobowym ruchu kolei, wymuszoną w postaci taryfy strefowej. I może już niedalekim jest czas, gdy pod względem pocztowo-telegraficznej wymiany myśli i pieniędzy nasze zakątki prowincyonalne, nasze wioski zapadłe, odcięte od świata, choć o włos zbliżą się do położenia, dajmy na to, *villages suisses*. Niedawno zdarzyło nam się zwiedzać wioski, odległe od Genewy o kilkanaście kilometrów. Zdumieliśmy się niepomału, że nawet najpośledniejsze z nich mają pocztamty, biura telegraficzne i skrzynki pocztowe na rogach uliczek. Skutkiem tego uznojony koło winnicy *paysan*, wieczorem zasiada sobie u stołu w wiejskiej *brasserie*, każe podać „piszolettę" cierpkiego *vin du pays* — i czyta świeżo z pod prasy wyjęte w Genewie dzienniki. A zapragnie, zamiast widma, widzieć konkretne miasto, siada w tramwaj parowy, którego sieć rozpościera się daleko po okolicy, i w niespełna pół godziny ogląda i dotyka Genewy.

Szkoda wielka, że tak wpływowy organ, jak *Nowosti*, przemawiając wymownie za reformą poczt, nie poruszył zarazem sprawy udoskonalenia mechanizmu osobowego biur telegraficznych. To jest niemniej paląca potrzeba. Wszak najdotykalniejszym symptomatem zacofania tej doniosłej w życiu społecznem funkcyi jest fakt, że nawet w tak wielkich mrowiskach ludzkich, jak Warszawa, nie do uwierzenia ogromne bywają opóźnienia w wysyłce i doręczaniu depesz. Ten niedorozwój musi mieć i stronę odwrotną, bardzo opłakaną — przeciążenie pracą żywych kółek tych aparatów, przeznaczonych do zaspokajania społecznego obcowania ludzi na odległość. Sęk w tem, że kółek za mało, a ludność wciąż wzrasta.

To, o czem mowa, nasuwa nam myśl o doli telefonistek. Niedawno na tem samem miejscu spotkał je ciężki, za ciężki nawet zarzut, że niedbalstwem w spełnianiu czynności swej szkodzą podwójnie: potrzebom publiczności, która żali się na to, i sobie samym, że psują dobrą sławę tak młodocianej plonce, jaką jest praca kobiet w fachach jeszcze mało dostępnych i opornie otwierających się dla niej. Wyznać musimy, iż zarzut ten był nienależycie rozwinięty: brał za pochopnie w obronę tylko interesy spożywców, tj. publiczności, korzystającej z usług komunikacyi telefonicznej, a uwzględniał, z ujmą dla telefonistek, powierzchnię sprawy, tj. niedbalstwo czy opieszałość, której przyczyna tkwi po za niemi i głębiej. Winę należałoby przypisać temu, że i tutaj stanowczo musi być za mało kółek myślących i czujących — za mało w stosunku do zapotrzebowania usługi telefonicznej. Cóż za dziw, że te, które uginają się pod ciężarem nad siły, wydołać nie mogą? Jest to zjawisko identyczne w przyczynie z tem, gdy maszynista przepracowany wykoleja pociąg. W tym wypadku już nawet najtępsza opinia publiczna nie myli się, kogo za to ma dosięgać. I co do niedbalstwa telefonistek czasby już ją uzdrowić i oświecić. Zarzucane tutaj „niedbalstwo" jest wytworem, wylęgłym w zaślepieniu i samolubstwie publiczności, rządzącej się pańsko - drobnomieszczańską emocyą i logiką. Zapatrzona w swoją kieszeń i odurzona zniecierpliwieniem, zdolna jest widzieć jeno obsługujące ręce, nie dojrzy zaś bezosobowej głowy. Jedna tylko inspekcya fabryczna mogłaby jasno widzieć.

zap.



PAMIĘTNIK.

Letnie mieszkania.

Jest to dowodem albo ubóstwa kraju, albo braku przedsiębierczości jego mieszkańców, gdy rozmaite gałęzie handlu i przemysłu nie wyrastają w potężne konary, ale rozwijają się wolno i mizernie w drobnych odrostkach. U nas prawdopodobnie działają obie te przyczyny. Pieniądz jest rzadki, przyzwyczajony do lichwiarskich zysków, spekulacya niezaradna, bojaźliwa, a nadewszystko niepomysłowa. Będzie ona

---

kcyjnego małżeństwa, mimo równie długiego stanu wdowieństwa, mimo stopnia doktorskiego, katedry i odznaczenia, jakiem jest *prix Bordin*. I w taki niemiły, obrażający, nieprzyzwoity sposób była kobietą...

Ona, która nigdy nie nęciła, więcej była kobietą od tych kusicielek, które z miłości czynią sobie zawód. Ujawniło się w niej nowe zróżniczkowanie kobiety, którego nikt nie rozumiał, ponieważ było nowe, i którego sama nie rozumiejąc, popełniała wskutek tego błędy. Winić za nie należy nie ją, lecz prąd czasu, który ją porwał i w wirze okręcił. Gdy ją zaś prąd ten puścił, było za późno na tworzenie osobistego losu.

I kto wie, czy byłoby lepiej, gdyby prąd czasu nie był jej uniósł, lub gdyby wcześniej była ocalała. Kobieta nie ma własnej doli. Nie może jej mieć, gdyż nie może być samą. A i losem mężczyzny staje się nie bezpośrednio, nie dzięki temu, czem jest sama, lecz dzięki temu, co powoduje. Im więcej jest kobietą, im bogatsze posiada przymioty, tem wyraźniej mężczyzna, biorący ją sobie na własność, losem się jej stanie. A jeśli rozwój średnio uzdolnionej kobiety zależy od tego, *jaki mężczyzna* będzie wobec niej dawcą, to o ile silniej zawisła od okoliczności tej pomyślność kobiety genialnej, w której ciepło uścisku męskiego rozbudzić i wyzwolić ma geniusz zarazem i kobietę. I jeśli przeciętna kobieta zrozumieć może własną istotę tylko przy pomocy miłości męskiej, — to o ile więcej potrzebuje jej kobieta genialna, o zdolnościach twórczych, które drzemią zarówno jak i indywidualność jej — w jej płci kobiecej. Jeśli pod tym względem kobieta pozostaje niezbudzona, głodna, to choćby istnienie jej poczęło się pod znakiem najbardziej „obiecującym," będzie w dalszym ciągu zanikiem i tem straszniejszą walką śmiertelną, im silniejszą była w niej energia życiowa.

Takiem było istnienie Zofii. Żaden mężczyzna nie przytulił jej do serca, nie uderzył o struny jej duszy tak, aby zadźwięczały. Była matką i żoną, lecz nie była żadnego mężczyzny *życiem*.

V.

Gdy piszę te słowa, dolatuje mnie co czas jakiś słodki, ciężki, mdły, a zarazem przenikliwy zapach. Spływa on ku mnie z tuberozy, stojącej opodal, na oknie. Dźwiga ona gruby pęk rdzawego trochę kwiecia na niezmiernie długiej, cienkiej łodyżce, okolonej kilku wiotkimi, chorymi liśćmi. Chora jest, gdyż przez długi czas stała wśród albumów i fotografij, na stole, pod świecznikiem, w nawpół mrocznej atmosferze pokoju. Choroba tkwiła widać w korzeniach—nie było rady. Trzeba było przyznać, że jest rzadkim kwiatem, a niepodobna było nie dostrzedz, że z dnia na dzień staje się brzydszą.

Postawiono ją na oknie, gdyż tu właśnie znalazło się trochę miejsca, na stole zaś umieszczono pospolitą doniczkę rezedy. Trzymała się doskonale między albumami, fotografiami i kartami wizytowemi i stanowiła bardzo ładną ozdobę. Na tuberozę nikt nie spoglądał, póki sama nie przypomniała się pamięci falą silnej swej woni. Natenczas spojrzało się na nią od niechcenia: na pierwszy rzut oka wydawała się tylko potarganą, schorzałą roślinką; przy uważniejszem atoli spojrzeniu dostrzedz było można, że łodyżka zakończona jest trzema zupełnie rozwiniętymi, lśniącymi, jak biały aksamit, kwiatkami. Łodyżka przechyliła się, tuląc kwiecie do szyby, przez którą aż do swego zachodu zaglądało słonko jesienne. Przywracała umierające kwiecie życiu i pod ciepłą pieszczotą słońca sama do sił wracała.

Zjawisko to przypomina mi Kowalewską.

W tym świecie, pełnym doniczek rezedy i normalnych pospolitości, przedziwną, egzotyczną była istotą. Wszystko w niej było nieporcyonalne — zarówno drobne, chude ciało, jak i duża głowa, z której bił słodki, ciężki, upajający zapach jej geniusza. Czyż nie stała na honorowem miejscu, pod świecznikiem, pośród modnych pisarzy i myślicieli ówczesnych, i czyż nie chorowała, żądając czegoś jeszcze lepszego? I nerwowe kwiecie jej ducha pokrywa się warstwą rdzy, coraz grubszą,

przez całe lata patrzała na jakiś ugorujący interes i nie przystąpi do wyzyskiwania go, bądź w nadziei upatrzenia sobie czegoś, co jej da zarobić grosz na groszu, bądź z trwogi przed wyzyskiem, bądź też z nieumiejętności oryentowania się w warunkach. Dopiero gdy przyjdzie z daleka obcy kapitał, który zadowala się mniejszymi odsetkami i lepiej zbada grunt operacyi, nasz żółw, siedzący w skorupach listów zastawnych, zaczyna płakać i narzekać, że mu obcy wydarli korzyści. Tak się stało z oświetleniem gazowem, z telefonami, tramwajami i mnóstwem innych przedsięwzięć. Obecnie na listę interesów zaniedbanych i wyczekujących miłosierdzia zbwnętrznego stoi sprawa letnich mieszkań. Tysiące rodzin corocznie wyjeżdżają z Warszawy i innych większych miast, ażeby parę miesięcy przepędzić na świeżem powietrzu. Rozmieszczają się one przeważnie w drogich domkach i willach, stłoczonych w ludnych i gwarnych zbiorowiskach, w drewnianych namiotach folwarków, w pierwotnych chałupach wiejskich, a nawet w klatkach małych miasteczek. Naturalnie o wygodzie i świeżem powietrzu w jakimś Nowomińsku, Grodzisku, Otwocku nie może być mowy, i dziwić się tylko trzeba naiwności ludzi, którzy opuszczają duże i czyste miasto, jakiem jest Warszawa, dla przebycia skwarnej pory w brudnem i zatęchłem miasteczku, jakiem jest Nowomińsk lub Otwock. A ile za tę zmianę płacą! W modnych i licznej nawiedzanych osadach letnich mieszkanie kosztuje na trzy miesiące tyle, ile w Warszawie na cały rok, tj. około 100 rs. za pokój. Czy taką cenę—pomijając brak wielu najkonieczniejszych wygód — może wytrzymać kieszeń średnio uposażonego człowieka? Nie. To też nie jest bynajmniej paradoksem często powtarzane twierdzenie, że wyjazd do uzdrowisk zagranicznych wypada taniej, niż pobyt w Otwocku, Brwinowie lub Grodzisku. Przekonywa o tem prosty rachunek. W Szwajcaryi można dostać t. zw. „pension" (mieszkanie z całkowitem wytwornem życiem) za 5 fr., czyli 3 rs. od osoby, przez trzy miesiące 270 rs. Tymczasem w Otwocku lub Brwinowie suma ta zaledwie wystarczyłaby na jeden pokój nędznie urządzony i liche pożywienie. Wprawdzie przybywają jeszcze koszta podróży i paszportu, ale jakaż różnica w tem, co się za nie otrzymuje!

Przykra to rzecz wydzierać korzyści drobnemu kapitałowi i oddawać je wielkiemu. Ale cóż począć! Niech on przynajmniej da za nie społeczeństwu jakiś równoważnik. Więc poświęcimy na ofiarę stu drobnych spekulantów jednemu większemu, jeżeli on nam da letnie mieszkanie wygodne i tanie. Dotąd odosobnioną i — zauważmy — bardzo zyskowną operacyę wielkiego kapitału na tem polu są domki, zbudowane przez hr. Zamojskiego w okolicach Łochowa, dostępne dla ludzi średnio zamożnych i dlatego skwapliwie wynajmowane. Czy inne pełne kieszenie nie mogłyby pójść za tym przykładem? Wszakże doświadczenie usunęło obawę ryzyka, a nawet zapewniło nakładowi dobry procent. Niech o tem pomyślą przez jesień i zimę śpiące... listy zastawne.

„Kultura pierwotna"

W życiu naszem zachodzą często wypadki, świadczące, że jeszcze niezupełnie wyszliśmy z okresu kultury pierwotnej. Doświadczają tego szczególnie cykliści. Pomimo że rower już od lat kilkunastu wszedł w szerokie użycie i nikomu nie przeszkadza, napadanie cyklistów, ranienie ich kamieniami, szczucie psami, podkładanie im gwoździ pod koła jest dotychczas zwyczajną rozrywką gawiedzi wiejskiej i miejskiej. Sami widzieliśmy, jak podczas zeszłorocznego wyścigu na szosie siedleckiej rozmaici psotnicy kładli w poprzek drogi duże kamienie. Istnieje w ludzie naszym jakaś ślepa nienawiść, jakaś dzika złośliwość względem rowerzystów, z którymi już konie się oswoiły, a motłoch oswoić się nie chce. Wymowną ilustracyą tej dziwnej niechęci, która przenika nawet warstwy oświeceńsze, jest świeżo rozstrzygnięty w sądzie gminnym Jabłonny proces, którego przedmiotem była zapamiętała bijatyka pomiędzy panami i paniami z powodu potrącenia dziecka przez jadącego cyklistę. Nie przeczymy, że ów cyklista mógł zawinić nieostrożnością; ale żeby go zaraz za to omłócić kijem, żeby w brutalnem starciu wzięły udział także parasolki, dla stworzenia podobnego obrazka obyczajowego potrzeba dużego zasobu... kultury pierwotnej.

Jeżeli cykliści nasi poddani zostali ścisłemu regulaminowi i odpowiedzialności, należy im się w zamian bezpieczeństwo. Łotr, który na szyny kolei kładzie kamienie lub kloce drzewa, podlega surowej karze; czyż nie powinien być również surowo karany inny łotr, który kładzie na drodze cyklistom przeszkody, mogące spowodować kalectwo lub śmierć? Odkąd rower mknie z szybkością pociągu, czynione mu złośliwości przestały już być dziecinnymi figlami i wchodzą w granice ciężkich przekroczeń.

Przy drogach.

Dla ludzi, którzy ułożyli sobie klawiaturę z „Jadzi wdowy," „Owieczek," „Popychadła," p. Śliwińskiego itd. i którzy na niej wygrywają ustawicznie zajmujące melodye, sprawa drzew przy drogach naszych jest nudną i małoważną. I rzeczywiście, filozofujący Warszawiaku i filozofująca Warszawianko, co to nas, myślących o karnawałach czterech pór roku, obchodzić może, czy i czem wysadzony jest gościniec z Wąwolnicy do Opola? Szkoda sobie zaprzątać głowy takiem głupstwem! Ponieważ jednakże są ludzie, którzy z tego głupstwa robią ciągłe kwestyę, więc bodaj z litości musimy o niej pomówić. Wiadomo, że nasz lud uważa sobie za święty obowiązek (ma to przynosić mu szczęście) łamać drzewka, posadzone przy drogach publicznych. Dzięki temu zwyczajowi, można u nas przejechać wiele mil i nie spotkać ani jednej wierzby. Ze szkodnictwem, które dotąd nie ma należytego hamulca ani w prawie, ani w sumieniu prostaków, połączyła się bardzo niejasna ustawa. Żąda ona bowiem od właściciela gruntów przydrożnych sadzenia drzew, ale nie przyznaje mu do nich prawa własności. Skutkiem tego drzewa przy gościńcach są nietylko wystawione na drapieżność przechodniów, ale nadto pozbawione wszelkiej opieki, gdyż nie należąc do nikogo, nie są strzeżone i pielęgnowane przez nikogo. Właśnie tę wadliwość przepisów i jej następstwa podnosi w *Gazecie polskiej* p. Czekan, który przytacza fakt bardzo pouczający. Właściciel majątku wysadził w nim drogę topolami kanadyjskiemi. Gdy drzewa się zestarzały i zaczęły być rozsadnikami robactwa, chciał je usunąć i zastą-

---

i cienka łodyżka, na której zawisła, pochyla się coraz więcej ku owemu wielkiemu źródłu ciepła, pełnemu łaski dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych, tylko nie dla niej!

Dlaczego? Czemu nie doznała tych rozkoszy, które z ręki mężczyzn na najpospolitsze spływają kobiety?

— Była taka mełodna! — odpowiadają dyskretne jej wielbicielki.

Przepraszam, wiemy dobrze, iż niekoniecznie najpiękniejsze kobiety najsilniej bywają kochane, że mężczyzna najgorętszą otacza tkliwością te właśnie istoty, którym ma coś do przebaczenia. Barbey d'Aurevilly, największy piewca kobiet, pewnik ten sformułował w nieśmiertelnych strofach.

— Była za stara, tj. zestarzała się zbyt wcześnie — objaśniają usłużne wielbicielki.

Ależ to dzieciństwo! Ona umarła w 40 roku życia. W tym wieku każda paryska „grande mondaine" zbiera największe hołdy; co zaś do przedwczesnego zestarzenia się, proszę zważyć, że kobieta genialna nie starzeje się, jak nauczycielka wyższych szkół panieńskich, ze chora, zniszczała tuberoza, puszczająca świeże kwiecia, pachnie słodziej, silniej, aniżeli białe jej pękate siostry.

— Żądała za wiele! — wyrokuje pani Edgren-Leffler, która wyszła za mąż w tym samym wieku, w którym Zofia umarła. I autorka ta całą swoją kanciastą książkę o niej opiera na pewniku, że zbyt wiele żądała od miłości.

Proszę! A czyż to nie te właśnie kobiety otrzymują najwięcej, które najwięcej żądają? Wciąż tylko wymagać — oto zasada większej części pań z towarzystwa. I na tej pewnej zasadzie żadna jeszcze nie straciła!

— Miała wszystko, czego zapragnąć może człowiek! — powiada w toaście, na jej cześć wzniesionym, dobry poeta, ojciec Jonasz. — Posiadała geniusz, sławę, stanowisko, swobodę, pierwsze miejsce na polu walki o rozwój ludzkości. Lecz ponieważ miała to wszystko, niczego nie ceniła. Jak mała dziewczynka, wyciągała rączkę, prosząc: „Ach, dajże mi tę pomarańczę!"

Powiedziane to jest bardzo serdecznie i rozumnie. Ojciec Lie był jedynym człowiekiem, który widział w Zofii to, czem była przez całe życie. Pozostała zawsze małą, niedojrzałą dziewczynką. Ale, kochany ojcze Lie, czyżby miłość miała w oczach twoich wartość pomarańczy?

Nie, w ten sposób niczego się nie dowiemy. Są to wszystko zbyt liche, mieszczańskie objaśnienia. Przyczyna tkwi głębiej, ma podstawę więcej organiczną, jest w silniejszym stopniu wyrazem cierpienia epoki, aniżeli sądzą naoczni świadkowie jej życia i taka nawet przychylna, rozumiejąca biografka, jak Ellen Key. I jak Kowalewska typowym jest znakiem najpoważniejszych emancypacyjnych zabiegów kobiecych i najwyższej duchowej działalności niewieściej — tak samo życiem swojem wyjaśnia typowy proces różniczkowania się kobiety w naszem stuleciu, zaświadcza, co w bolesnym procesie tym kobieta zatraca, a co zachowuje dla ukształtowania typu przyszłości.

Ona, której czar osobisty tak był silny, jak twierdzą wszyscy, którzy ją znali, zachwycała swojem gorącem poddawaniem się nastrojowi chwili, nie działała na mężczyzn tak, jak działają o wiele niższe, zimniejsze, puste kobiety dlatego, że nie posiadała *rutyny w sztuce przyciągania*. Rutyna to stara jak świat i przywykli do niej mężczyźni, odkąd z kobietą mają do czynienia. Mężczyźni — najwrażliwsi nawet, najbardziej rozwinięci — na tym punkcie odgadywać nie umieją. Starano się przecież o to usilnie, aby przychodzili odrazu i zawsze do gotowego. Zofia nie nęciła, gdyż pewien rodzaj cechującej ją dziewiczości nie pozwalał jej rozpoznać *wstępnych układów miłości*, gdyż miała w sobie pewne szlachectwo duszy, będące nabytkiem dla typu nowego, i pewien brak instynktu, który odziedziczyła może, lecz zatraciła.

(D. c. n.).



pić nowemi. Nie pozwolono mu. Wobec tego i podobnych wypadków, p. Cz. wywodzi potrzebę dopełnienia niejasnej ustawy i przyznania właścicielowi gruntu prawa własności do drzew przydrożnych, takiego samego, jakie on posiada do swego przydrożnego płotu. Jeżeli zaś nadal położenie pozostanie dotychczasowem, nikt drzew przy drogach sadzić i utrzymywać nie będzie.

W sprawie „Puszczy."

Zarząd Towarzystwa osad rolnych postąpił w myśl naszych uwag i wypracował obszerną odpowiedź na czynione mu przez kilka pism zarzuty co do nieprawidłowości w zakładzie wychowawczym dla dziewcząt „Puszcza." Ponieważ wyjaśnienie to zawiera około 800 wierszy druku i nie zwraca się przeciwko naszemu pismu, więc nie mamy ani możności, ani obowiązku go zamieszczać, pomimo że nam również zostało nadesłane. Zaznaczymy więc tylko ogólnie, że Zarząd Osad rolnych zbija kolejno wszystkie zarzuty dowodami, twierdząc, iż akt oskarżenia oparto na kłamstwach, złej woli i zamiłowaniu do wytwarzania skandalów w prasie. Wszystkie te piękne cnoty zdobią rzeczywiście pewną część naszego dziennikarstwa, o ile wszakże obrona napadniętych jest w tym wypadku szczerą i słuszną, orzec nie możemy. Na to bowiem trzebaby znać gospodarkę w „Puszczy" bezpośrednio.

Z GALICYI.

Rysów kilka nader wybitnych i ciekawych posiada dzisiejsze życie publiczne w Galicyi. Równolegle do siebie idą dwa prądy, pod każdym względem przeciwne sobie, przedstawiające niejako dwa bieguny: prąd katolicki i ludowy. Jeden jest przedstawicielem konserwatywnych lub wstecznych czynników życia, drugi — postępowych. Prąd katolicki wybujał w Galicyi nadmiernie, a co ważniejsza, siła jego wzrasta tak nieproporcyonalnie do istotnego znaczenia w życiu publicznem, że grozi poprostu zalewem wstecznej fali. Z czynnika etycznego usiłuje on stać się wszechpotężnym i wszechogarniającym czynnikiem życia we wszystkich jego kierunkach i objawach, do czego nie posiada ani siły, ani poczucia potrzeb tego życia.

Mam tu na myśli ostatni wiec katolicki, który niedawno odbył się we Lwowie. Kilkunastu ludziom, cierpiącym poprostu na manię religijną, i tyluż osobom, należącym do sfery duchowieństwa, a szukającym wszelkiemi drogami rozgłosu i znaczenia, zachciało się koniecznie urządzić wiec katolicki — i urządzili, skupiając koło siebie dużo odpadków społecznych, żądnych wyniesienia się, pod względem wiary przewrotnych, a pod względem etycznym — niejasnych. Do tego rodzaju wieców niema tutaj żadnej podstawy i potrzeby, co najlepiej może było widoczne na zjeździe lwowskim. Referaty członków zjazdu nie miały bardzo często nic wspólnego z religią, a zawadzały natomiast o wszystkie warunki życia politycznego, społecznego i ekonomicznego, a nawet wkraczały w dziedzinę literatury, sztuki i nauki. Żądza opanowania każdej kategoryi pracy ludzkiej, umysłowej, społecznej i politycznej, chęć wywierania wpływu tam, gdzie on jeszcze się nie zaznaczył — oto są motywy ukryte, ale pierwszorzędne, kierujące organizatorami zjazdu.

Takie też cechy nosił zjazd lwowski, który pozostawił wysoce niesympatyczne wrażenie, począwszy od tytułu, który barwę swoją narzucał wszystkim, a skończywszy na referatach, które nic wspólnego nie miały po większej części z katolickim charakterem wiecu. Można by śmiało powiedzieć, że tego rodzaju wiece są walką z wiatrakami. Wszelkimi sztucznymi sposobami wyszukuje się niebezpieczeństwo i zwołuje na ratunek tam, gdzie nic nie grozi, a to w celu osobistego wyniesienia się i pozyskania tytułów, bardzo w pewnych razach pożytecznych.

Pogląd na potrzebę i znaczenie wiecu wyraził się dobitnie w przemówieniach dwóch mężów stanu, którzy jeszcze nie byli dotychczas pasowani na opatrznościowych ludzi Austryi — arcybiskupa lwowskiego księdza Morawskiego i p. St. Tarnowskiego z Krakowa. Obaj ci wielcy mężowie w wielu razach, gdy zachodziła potrzeba mówienia, wytrwale milczeli, ale natomiast odzywają się tam zawsze, gdzie z czystem sumieniem mogliby milczeć. Arcybiskup, wsiadłszy na „wdzierające się z zachodu brzydkie hasła, pod których wpływem zanika poszanowanie dla władzy rodzicielskiej, świeckiej i duchownej, a stąd pochodzące obałamucenie zdrowego zmysłu ludu i rozpaczliwe wychodźtwo do dalekich krajów" — do naprawy złego zawezwał wyłącznie katolików, wskazując środki do tego w banalnych ogólnikach — dobrej woli i oparciu się na „gruncie katolickim."

P. St. Tarnowski (aus Krakau) wprost uważa wiec za rodzaj broni, do której uciekać się trzeba z konieczności. Czasy, jego zdaniem, coraz gorsze; najbardziej go niepokoją żyjące w ludzie tradycye 1846 r. „Długi czas — powiada p. T. — oglądaliśmy się za interwencyą władz, żądając, aby ono wytępiły chwasty, tymczasem pokazało się, że i one często mają zmysł moralny fałszem stępiony i nie rozumieją, co dobre a co złe." Ta filipika dała pochop jednemu z pism tutejszych do porównania p. Tarnowskiego ani mniej ani więcej tylko — ze Skargą. Co? Kiedy jeździć — to już sanną... Ten Skarga *sui generis*, rozkochany w czarno-żółtych barwach, prorokując zwycięstwo nad ludźmi „szerzącymi zło wpływy," powiada, że do zwycięstwa posiadamy nawet „niektóre warunki," „bo któraż to literatura — zapewnia nas prezes Akademii umiejętności — wskaże (tak) powieści tak zdrowe i podnoszące moralnie, jak Sienkiewicza?" To nie żart, nie. Prawda, moralność Płoszowskich, Maryni i mnóstwa innych bohaterów i bohaterek erotyzmu francusko-szlacheckiego, warta jest wiedzy prezesa krakowskiej akademii. Żaden chyba hrabia nie był tak lichym literatem i tak odważnym „generalnym prezesem" (z wyjątkiem „hrabiego Wojtka" — jak powiada *Kuryer lwowski*), jak ten przedstawiciel obskurantyzmu galicyjskiego.

Zjazd podniósł niejedną sprawę ważną, któremi i przed nim zajmowano się gorąco. W sekcyi rolniczej Stefan Sękowski podniósł potrzebę i podał sposoby wzmocnienia i utrzymania drobnej własności rolnej, a dr. Caro (katolik świeżej daty) mówił o kredycie to, co już dawniej drukował. W sekcyi przemysłowej była mowa o potrzebie budowania mieszkań robotniczych. Nic wszakże w tych referatach nie było ani nowego, ani zasługującego na podniesienie.

Ultramontańskie dążności wiecu wyraziły się w innym jeszcze kierunku, mianowicie w sekcyi szkolnej i prasowej. Ksiądz Gnatowski wystąpił z wnioskiem o szkołach wyznaniowych. Jest to człowiek rozumny, wykształcony, o umyśle otwartym, tem bardziej przeto dziwić się należy, iż z tego rodzaju wnioskiem wystąpił, mieszając sprawę religii ze sprawą nauki i bez potrzeby i bez należytego uzasadnienia. Według jego mniemania, młodzież chrześciańska demoralizuje się pod wpływem młodzieży izraelskiej — *ergo* oddzielić ją. To już zanadto się zbliża do przypowieści ewangelicznej o parszywych owieczkach. Taki rozdział wyznaniowy wytworzyłby swego rodzaju pojęcia błędne o lepszości mojej i twojej wiary, o tem, że „żydowska wiara — to żadna wiara," co nie wpłynęłoby umoralniająco na przyszłe pokolenia. Kwestya żydowska zrodziła się nie z powodu różnic religijnych, nie powstała na ławie szkolnej i w szkole rozwiązaną nie będzie. Zrodziło ją życie — warunki jego, prawodawstwo, państwo niekiedy — na tej też drodze rozwiązania jej szukać należy.

Dr. Włodzimierz Kozlowski rozwodził się nad stanowiskiem prasy polskiej wobec kościoła. Treścią tego odczytu, bogatszego w słowa, niż w myśli, było: jestem z was zadowolony, ale moglibyście się stać jeszcze pożyteczniejszymi. Wzywanie do zjednoczenia „sił katolickiego obozu" powinno być zadaniem rozmaitych *Przeglądów katolickich* i *Gazet kościelnych*, ale nie prasy wogóle.

Wiec katolicki, natchniony słowami galicyjskiego Skargi, uwieńczył swoją działalność wysłaniem do papieża depeszy z życzeniem powrotu świeckiej jego władzy.

Jak dalece polip obskurantyzmu rozszerza swoje ramiona w Galicyi, dość będzie, gdy przytoczę jeden fakt tylko. We Lwowie istnieje „Towarzystwo ludoznawcze" i wydaje organ swój, *wyłącznie* poświęcony nauce, p. t. *Lud*, którego redaktorem jest człowiek bardzo umiarkowany i spokojny, prof. uniwersytetu dr. A. Kalina. Jakiś recenzent z *Gazety kościelnej* napadł na to czasopismo i na dr. Kalinę. Zabolało go to, że „między członkami znaleźli się obok księży i ludzi wierzących znani ze swej ruchliwości niedowiarkowie i radykali." Trudno zaiste domyślić się, co ma wspólnego wiara lub niedowiarstwo z nauką ludoznawczą.

Uczony krytyk *Gaz. kościelnej* idzie jeszcze dalej. „Towarzystwo i jego organ — pisze on — zamiast zaznajamiać z ludem polskim, poszło śladem niemieckich folklorystów i zajmuje się w *znacznej* części stanem człowieka w epoce dzikości." Najwięcej martwi go to, że pismo zajmuje się badaniem rozmaitych przeżytków, szczególnie zaś szczątkowemi formami małżeństwa, gdyż dopatruje w tem wpływu demoralizującego na niższe warstwy. Z tego, co stanowi najpiękniejszą zaletę pisma fachowego, zwolennik obskurantyzmu ukuł zarzut.

Drugi prąd tutejszego życia, pełen siły i świeżości, ludowy, natomiast występuje tem jaskrawiej pod względem programowym. Jak w poprzednim widać na każdym kroku obłudę schorzałego i ambitnego starca, tak tutaj uderza nieokiełznana wybujałość młodości. Koryto jego, chociaż wązkie, ale głębokie, a fale wartkie. Jeżeli na swej drodze napotka groblę — wylew nieunikniony. Wielką wadą stronnictwa ludowego jest brak rozumnych i rozważnych a popularnych przewodników. Najbardziej zbliżeni do stronnictwa ludowego przekonaniami posłowie Szczepanowski i ksiądz Kopyciński, usuwają się zupełnie z Rady państwa i wycofują z życia publicznego. Byłaby to dotkliwa strata dla stronnictwa postępowego, bo jakkolwiek nie podzielali oni programów Towarzystwa, nie przestali być wszakże szczerymi i uczciwymi demokratami, jak i wielu innych ludzi, stojących dziś na uboczu od wszelkiej akcyi. Ta odrobina tutejszego niby politycznego życia przyniosła z sobą zaród trucizny, wywołała gorączkę, absorbującą nieużytecznie wszystkie siły społeczne. Agitacya wyborcza w każdym kierunku stała się czemś w rodzaju polowania z naganką lub w pojedynkę. To też i rezultaty takie same. Naganiacze i charty biegają z wywieszonymi językami, a myśliwy bez wielkich wysiłków przychodzi do posiadania zwierzyny. Dzieje się u nas zupełnie tak, jak

często można widzieć na wsi, gdy środkiem jej cygan prowadzi niedźwiedzia, pokazującego różne figle: wszyscy odbiegają od pracy i gapią się na niego. Każda agitacya przedwyborcza u nas nie jest niczem innem. Jakiż pożytek z tego? — nasuwa się mimowolnie pytanie. Oczywiście korzystają z tego najwięcej — cyganie różnego rodzaju.

Skrajność, a nawet więcej, bo brak rozsądku w dzisiejszych kierownikach stronnictwa ludowego, umożebnia robienie w Galicyi takich doświadczeń, na jakie nie porywają się państwa i kraje wysoko w kulturze posunięte, a posiadające rządy demokratyczne, jak Szwajcarya, albo Norwegia. Fakt, o którym kilka słów powiem, zdarzył się przy wyborach do Rady powiatowej w powiecie Pilzeńskim. Gminy wiejskie wybrały do Rady powiatowej *samych* włościan. W ten sposób inteligencya będzie w mniejszości, gdyż na 23 członków Rady weszło do niej: z własności wielkiej 7, z miasteczek 7 i z małej własności 12.

Czem i jak się skończy to doświadczenie, — trudno przewidzieć, stać się wszakże łatwo może, że władza przejdzie w ręce urzędnika państwowego. Żadne może rozumowanie nie dałoby tak dokładnego pojęcia o nieprawidłowości tutejszych stosunków, jak owe wybory do Rady powiatowej. Są one dziełem nie przypadku, lecz świadomej zawziętości, zazdrości i bezgranicznej lekkomyślności. Ażeby to zrozumieć, dość powiedzieć, że z owych 23 członków ani jeden nie sięga dalej po za umiejętność czytania bardzo licho z „drukowanego" i podpisania własnego nazwiska. A jednak tacy ludzie biorą administracyę powiatu w swoje ręce. Cóż się z tego stanie? Kierować nimi będzie, jak wójtami, pisarz gminny lub pierwszy lepszy karczmarz. O jakiejkolwiek znajomości interesów krajowych, lub miejscowych tylko, u takich ludzi mowy być nie może; mamy tego najlepsze dowody na administracyach gmin, odznaczających się bezgranicznem niedołęstwem.

Podniesienie oświaty ludu, wytworzenie śród niego warstw rozumnych, zdolnych i chętnych do pracy publicznej, jest gorącem pragnieniem każdego uczciwego człowieka; ale wysuwanie na czoło ludzi prostych, bez elementarnego wykształcenia, a tylko zazdrosnych, chciwych, wiedzionych nie świadomą chęcią pracy, lecz pragnieniem rozporządzania groszem publicznym i obałamuconych nadzieją władzy, nie może wyjść na pożytek kraju. *Amicus Plato, amicus Cicero, sed magis amica veritas.* Każdą doktrynę społeczną można porównać do noża; jest on niezawodnie pożyteczny, ale pożyteczność jego zależy nietylko od tego, kto używa, lecz także, do jakiego celu. Siła każdego żywiołu jest wielką niezawodnie, ale tylko wtenczas, gdy pracuje; gdy niszczy — jest tylko dziką. Gwałtowna chęć niszczenia wszystkiego, ażeby co rychlej stworzyć coś lepszego, jak i gwałtowna chęć konserwowania rozmaitej zgnilizny, rozmaitych przeżytków kastowych, są jednako szkodliwe. *Cho.*

Z NIEMIEC.

Kobiece zjazdy dotychczasowe w Niemczech robiły często wrażenie sesyjek, na których kumoszki, cerując skarpetki swych towarzyszów życia, wynurzały się wzajemnie przed sobą ze swych dolegliwości. Mówiono o przewrotności mężów, o ich brutalnem obejściu z połowicami, uskarżano się na późne wychodzenie za mąż córek, na nierząd utrudniający karyerę małżeńską kobiecie uczciwej, zgadzano się, iż należy inaczej wychowywać dzieci itd. Bez wrzawy rozchodziły się delegatki, aby na przyszły rok powtórzyć kubek w kubek to samo w nieco odmiennej formie. Prasa pomijała te kongresy milczeniem, a opinia publiczna lekceważyła je zupełnie. Od kilku lat przecież zjazdy te, zdaje się, zmieniają swój charakter na lepsze. Tegoroczny wiec „Związku stowarzyszeń kobiecych," jakby urągając tradycyi, odznaczał się bogatą treścią rozpraw, poważnym, nie małostkowym przebiegiem posiedzeń i po części sympatyczną cechą tematów. Zanosi się chyba na to, iż ruch kobiecy, który już od lat kilku ugrzązł w Niemczech w bagnisku frazesów i filisterstwa, ma zamiar wystąpić czynnie na polu politycznem i ekonomicznem. Kobiety niemieckie, skutkiem smutnych doświadczeń i rozczarowań, które przeszedł ich ruch, przychodzą do wniosku, że życie polityczne jest w Niemczech koniecznością dla nich — nietylko dlatego, że było ono dotychczas przywilejem mężczyzn, lecz przeważnie z tego względu, że ciała prawodawcze tego kraju decydują o wszystkich sprawach bytu społecznego. Chcąc polepszyć swe położenie prawne lub ekonomiczne, kobieta musi posiadać głos w życiu politycznem. Tak np. Reichstag ma wkrótce nadać swą sankcyę kodeksowi cywilnemu, w którym ukuto nowe kajdany dla kobiet. Kodeks ten, na którym reakcya ostatniego dziesięciolecia wycisnęła swe piętno, pod niektórymi względami pogorszy położenie kobiet niemieckich. Zrozumiały więc one, że kiwanie palcem w bucie nie wystarcza w tak ważnej chwili. Bombardowano parlament petycyami, napisano sporo broszur przeciwko nowonarodzonemu kodeksowi, lecz nie zdobyto się na to, aby w mieście takiem, jak Berlin, który posiada pół miliona dorosłych kobiet, zwołać zebranie w celu zaprotestowania przeciwko prawnym bezprawiom. Lecz, bądź co bądź, ostatni zjazd „Związku stowarzyszeń kobiecych" w Kasslu odbył się pod znakiem agitacyi polityczno-ekonomicznej. Na tym zjeździe 70 kilku stowarzyszeń kobiecych można było napotkać różne typy szermierek. Były tam takie, które widzą zbawienie uciskanej połowy rodu ludzkiego w dopuszczeniu jej do studyów; były tam bojowniczki, sprowadzające kwestyę wyzwolenia kobiet do rozpowszechnienia tanich kuchen i zupy rumfordzkiej.

Obok panny Heleny Lange, patrzącej na kwestyę emancypacyi wyłącznie ze stanowiska karyery, występowała pani Cauer, była współpracowniczka pani Giżyckiej, kobieta o szerszych poglądach społecznych. Giżyckiej nie było, gdyż spaliła za sobą zupełnie mosty ruchu kobiecego. Wiceburmistrz miasta, zaproszony wraz z policmajstrem, przywitał w imieniu miasta delegatki. Panna Schmidt, prezydentka Związku, nakreśliła rozwój Związku. Powstanie swoje zawdzięcza on inicyatywie dam, które przedstawiały Niemcy na kongresie kobiecym w Chicago. Agitacya sprawy kobiecej datuje się już od lat 30. „Powszechne stowarzyszenie kobiece" wystawiło hasło równouprawnienia, formułując je w duchu nieco idealistycznym. Wkrótce powstał szereg innych stowarzyszeń o bardziej praktycznym i poziomym charakterze. Nowe i stare utworzyły dwa związki, które współzawodniczyły z sobą dopóty, póki nie podały sobie rąk dla wspólnej działalności. Co dwa lata jeden z nich zwoływał kongres, w którym i drugi brał udział. Życie jednak zmuszało kobiety do zabierania głosu w różnych sprawach i podbijania nowych pól zarobkowych. Powstawały nowe stowarzyszenia. W ten sposób ruch kobiecy przedstawiał istną wieżę Babel. O porozumieniu się tych idących samopas grup nie mogło być mowy, dopóki wszystkie nie zlały się w jedną całość. Tej centralizacyi dokonały delegatki, powracające z kongresu kobiecego w Chicago. Powstał „Związek stowarzyszeń kobiecych," organizacya mająca na celu wogóle podniesienie materyalnego i duchowego poziomu kobiet. Pani Cauer zaznajomiła kongres ze swą działalnością w założonem przez siebie stowarzyszeniu pracownic handlowych w Berlinie. Dużo trudów i funduszów pochłania wyszukiwanie pracy pannom. Przy stowarzyszeniu istnieją szkoły wieczorne o 4 klasach. W ten sposób konkurencya z mężczyznami jest ułatwioną. Kasa dla chorych ze swemi lekarkami roztacza pieczę nad zdrowiem pracownic, do czego przyłącza się dom dla rekonwalescentek i letnie kolonie. Dla rozrywek stowarzyszenie urządza przedstawienia teatralne i koncerty; członkinie utworzyły również kluby cyklistek, wioślarek i gimnastyczny. Pani Schwerin starała się dowodzić, iż sprawa zarobku stoi obecnie na czele wszystkich t. zw. kwestyj kobiecych. To dało jej pochop do zaznajomienia zebrania ze smutnymi wynikami, które otrzymano przez ankietę sądu przemysłowego w Berlinie podczas bezrobocia „konfekcyonistek." Gdyby rolę sędziów, stawiających pytania, powierzono kobietom, wyszłyby na jaw o wiele smutniejsze jeszcze rzeczy. „Ile pani zarabiasz?" — pyta sędzia jednej z pracownic. „Sześć marek tygodniowo" — brzmi odpowiedź. — Z tego odchodzi jeszcze na nici." — „Jakże pani z tego możesz się utrzymywać?" Milczenie. Pani Schwerin wyraziła swe zadowolenie z tego, że kobiety zażądały w ostatnich czasach wprowadzenia inspektorek fabrycznych. Kilka państw niemieckich zgodziło się na to. Reszta opiera się jeszcze, lecz nie może postawić zasadniczych zarzutów. Rząd wydelegował komisyę do Anglii dla zbadania rezultatów działalności inspektorek fabrycznych. Pani Simson wystąpiła przeciwko temu, iż komisya starała się wprowadzić w błąd sfery miarodajne fałszywemi relacyami. Z oburzeniem odparto zarzut, stawiany kobietom, jakoby, żądając wprowadzenia tej instytucyi, chciały rozszerzyć pole karyery dla niewiast. Również zaznaczono, iż cała ta instytucya chybia celu, jeżeli inspektorka fabryczna zajmuje stanowisko pośrednie między robotnicą a inspektorem fabrycznym. Związek zgodnie z tem wystosował petycyę do rządu. Kongres, jak widzimy, skupił swą uwagę na zagadnieniach praktycznych; o zasady nie polemizowano. Z różnych przedmiotów poruszonych jeszcze, zwrócę uwagę na „Stowarzyszenie obrony prawnej kobiet," istniejące od 2½ roku w Dreznie. Stowarzyszenie to posłużyło za wzór dla dwu podobnych instytucyj, założonych w Berlinie i Austryi i mających na celu zarówno oświecenie kobiet w kwestach prawnych, jak pomoc prawną dla potrzebujących. Wychodząc z trafnego psychologicznego spostrzeżenia, iż kobiety niechętnie wtajemniczają mężczyzn w swe sprawy, stowarzyszenie złożyło działalność w ręce kobiet. Przyjmują zwykle 3 damy. Jedna zadaje pytania, druga prowadzi protokół, trzecia robi notatki dla adwokata. Zebrano olbrzymi materyał, rzucający światło na prawne upośledzenie kobiet. Stowarzyszenie stało się podobno postrachem na niegodziwych mężczyzn. Pani Stritt, która referowała w tym przedmiocie, starała się zilustrować znaczenie instytucyi anegdotą. Pijak mąż, będąc w stanie nietrzeźwym, znęcał się zwykle nad żoną. Ta w rozpaczy zagroziła, iż zwróci się do „Stowarzyszenia obrony prawnej kobiet." Usłyszawszy to, mąż pada na kolana i przysięga nie brać nigdy do ust gorzałki. Żona cofnęła swój zamiar, a mąż dotrzymał słowa i stał się wzorowym małżonkiem! *H. F.*

BADANIA NAUKOWE.

USTRÓJ SAMORZUTNY SPOŁECZEŃSTWA POLITYCZNEGO.

VI.

Jakie są właściwości i tendencye stowarzyszeń, opartych na „równo-jodni.“ Dla większego uwydatnienia dążeń socyologa, utajonych w jego pomysłach — niech mi wolno będzie nadać temu typowi inną nazwę jeszcze: organizacyi „o jednostkach niedotrawionych.“ W przeciwieństwie do tego, typ poprzedni zrzeszenia zwałby się ustrojem „o jednostkach strawionych.“ (Przy uwagach krytycznych na ostatku wytłomaczę się z tej parafrazy). Wścibiam zaś, nawiasem, te trzy grosze swoje w mocno zwartą tkankę ścisłości d-ra B. dlatego, żeby lepiej unaocznić pochód jego myśli socyologicznej i jej kres. Widać to zresztą ze stosunku między stowarzyszeniem z podobieństwa a zespoleniem przez obokległość i z ról, jakie im są przyznane w procesie uspołecznienia. Gdy pierwsze, w najczystszej swej postaci, są metą i zarazem zbiornikiem ujednostajnionych, startych na miazgę społeczną jednostek ludzkich; drugie mają zadanie jakby szkoły przygotowawczej, retorty, gdzie one zwolna tracą kanciastość przeciwgromadzką i ścierają się właśnie na ową „miazgę.“ Albo inaczej — inkubatorem, gdzie jednostki o wybujałych odrębnościach przetwarzają się na istoty zdolne uczestniczyć w wyższem, intensywniejszem życiu zbiorowem. Barbarzyńskiem może się wydać to moje obrazowanie myśli dr. B., ale to wina jego ogromnego uścisłenia się, nadmiernej abstraktyzacyi tego, co jest konkretne z siebie i naprasza się o wyraz prostszy, bardziej poziomy — bo samo jest, niestety, poziomem.

Właściwie mówiąc, dr. B. (co sam przyznaje) operuje w swych badaniach wielkością powszechnie przyjętą w świecie naukowym: prawem rozwoju zjawisk biologicznych i społecznych — dwojakiem prawem całkowania i różniczkowania. Kładzie tylko większy nacisk na pierwszem. Jego „asocyacya z podobieństwa“ jest wyrazem dążeń integracyi. Stowarzyszenie zaś przez „obokległość“ — siedliskiem czy przytułkiem dążeń różnicowych, które atoli, będąc procesem przejściowym, występują tu sprzągnięte zawsze mocą pewnej ilości podobieństwa (zcałkowaniu), żeby, ulegając stopniowej, rozwojowej zagładzie, wygasnąć zupełnie. Ideałem więc najbardziej różnojednych (*concomitants, dissemblants*) pierwiastków jest jednia w pozyskanem upodobnieniu. Dążność to nieprzeparta i postępowa, a celem jej być ma zawsze: stowarzyszenie według podobieństwa, jedyny przyszłościowy typ uspołecznienia wyższego rzędu. „Zrzeszenie spontaniczne — powiada B. — gra w życiu społeczeństw rolę daleko znaczniejszą, niż się mniema powszechnie.“ Ich działalność wzrasta ciągle i „wzmożenie bezpośredniej akcyi społeczeństwa, w rzeczywistości, jest prawem rozwoju społecznego“ (S. K. Hamilton). Do błędu miałoby należeć twierdzenie, że organizacya na zasadzie podobieństwa jest udziałem naszych czasów: już w starożytności, w okresie, gdy życie społeczne było tak rozrzedzone i wątłe, podobieństwo stanowiło „podwalinę segmentarycznej budowy aglomeracyi pierwotnych“ i przygotowało państwo-miasto. Archaiczna grupa rodzinna jest zrazu „spółką małżeńską, później kolejno stowarzyszeniem krewnych jednomacierzystych i przyrodnich o pochodzeniu wspólnem.“ W swej starożytnej postaci organizacye te ogarniają naraz bogów, ludzi i rzeczy: takiemi są familia kwirycka, gens, curia, tribus u Rzymian. Tak samo i gminy średniowieczne. Większość ich poczyna spółką handlową lub gildą kupiecką, często „konjuracyą“ uświęconą zaprzysiężeniem pomocy wzajemnej (*commune juree*). Uzyskawszy zaś przywilej od suzerena, przeistaczają się w senioryę, a z nabyciem obszaru ziemskiego i poddanych — wstępują, jako jedno z wyrobionych ogniw, w układ państwa.

Zapewne — ze stanowiska „ustroju samorzutnego“ — ów dorobek państwa byłby dziełem stowarzyszeń, opartych na czynnikach różniczkowych. Wogóle ten typ organizacyi (*ass. par concomitance*) nietylko toruje drogę do samorzutnej integracyi, ale łatwo też przechyla się w dążeniach swych ustrojowi przymusowemu.

Ale, bądź co bądź, dla działalności grup kojarzących się żywiołowo, widzi B. pole bezgraniczne. „One dostarczają rozrywek, rozwijają zręczność i siłę fizyczną, popierają postęp nauk i sztuk, szerzą oświatę, zwalczają choroby, nędzę, polepszają warunki pracy, zdobywają nowe bogactwa, organizują szerokie, śmiałe a ryzykowne przedsiębiorstwa; ich to działalność wreszcie budzi i rozpala życie publiczne, wtóruje niekiedy obronie kraju i utrzymaniu ładu wewnętrznego, wywołuje zmiany i reformy w ustroju państwa, rodzi osadnictwo rozumne itd. itd.“ Całą tę kategoryę zjawisk zwykło się odsyłać lekceważąco do rubryki „inicyatywy prywatnej.“ Tym sposobem — powiada dr. B. — ten olbrzymi ruch sprowadza się do pośledniej roli wysiłków indywidualnych, zamiast widzieć w nim system czynności, wykonywanych przez samorzutny ustrój społeczeństwa. Uważając, że czas już, żeby teorya przywróciła należne im miejsce, dr. B., jak widzimy, buduje na własną rękę dla nich niebotyczny gmach rehabilitacyi, tj. rozpatrzony wyżej, logiczny konstrukcyi — „ustrój samorzutny.“ Bujał on nam dotąd niejako w zimnych, pogodnych błękitach Abstrakcyi, teraz zobaczmy, jak wygląda *in concreto*, na gwarnym, burzliwym — pełnym szamotań i zgrzytów „różniczkowych“—padole „tła materyalnego,“ produkcyi dóbr materyalnych. Ujrzymy, że i tu przegląda jego pogodne, równe, jednolite i nadziejne oblicze — jak pogodnym, równym, jednolitym i ufnym jest człowiek, w którego umyśle ten twór idealny powstał.

To, co dotychczas wyłożyliśmy, było (u dr. B.) rozpatrywaniem społeczeństwa „w jego stosunkach kooperacyi i zespolenia sił ludzkich.“ Tło jego materyalne, tymczasowo, zostawione było na uboczu. Ale z tem tłem — powiada nasz socyolog — ono (tj. społeczeństwo) jest organicznie związane i przenika się niem w swem życiu funkcyonalnem. Samo zaś to tło, swoją drogą, ulega przekształceniu, odpowiedniemu do potrzeb zbiorowości. Składają się na nie: „materyały surowe, substancye i istoty ustrojowe“ — ono stanowi dla społeczeństwa obszerny warsztat, pole współdziałalności (kooperacyi) ludzkiej, wspieranej współdziałaniem przyrody. Jest to dziedzina wytwarzania w ściśle gospodarczem znaczeniu słowa. „Do poprzedniego systemu asocyacyjnego, który wiąże jednostki między sobą, jednocząc je ich stroną wspólną, dołącza się nowy pierwiastek — tło wytwórcze — z którem one są organicznie sprzęgnięte pracą.“ Niema innego wyróżnienia między produkcyą w szerokiem słowa znaczeniu a wytwarzaniem, właściwem ekonomii społecznej, prócz dwóch cech, tej ostatniej właściwych: że operuje szczególnie materyałem nie-ludzkim i wymaga w tem środków odpowiednich, tj. materyi surowej, łącznie z ziemią, i narzędzi wogóle, łącznie z siłami ruchu. Dwa czynniki główne, względnie niezależne, wchodzą tedy w proces całkowania funkcyonalnego, jakiemu ulega kooperacya gospodarcza w przejściu ze stanu rozproszenia w ustrojowość: stopień uspołecznienia, czyli zdolność do akcyi wspólnej i stowarzyszania się, tudzież specyficzna rola środków wytwarzania, określona ich nagromadzeniem, wydajnością i rozpodziałem. (Mówimy wciąż, dla wierności, językiem B.).

Dr. B. wykazuje, że „ruch stowarzyszeniowy w dziedzinie ekonomii społecznej“— w oderwaniu od środków produkcyi—doprowadza do wyłączenia z niej inicyatywy zewnętrznej i pośrednictwa, tj. pierwiastków przygodnych, które wtargnęły do niej w braku uspołecznienia, wiedzy technicznej i zdolności organizacyjnych ze strony interesowanych,“ czyli właściwych wytwórców. Usuwając to kółko zbyteczne z łona swego, grupy wytwórcze, samorzutnie zrzeszone, potęgują wydajność czynności społecznej swych członków, kiełznając zaś gromadzicielskie pożądania, wywierają doniosły wpływ na rozpodział w kierunku równości. Wniosek ten wysnuwa B. z takich zjawisk współczesnej ewolucyi społecznej, w oczach naszych dokonywającej się, jak artele rosyjskie, potężne syndykaty robotnicze i stowarzyszenia spożywcze. „Mając cel wyraźny i ograniczony, wolne od wszelkich powikłań interesów rozbieżnych i obdarzone zupełną harmonią dążeń, powiada socyolog, wszystkie te stowarzyszenia zawiązują się na podstawie czystego podobieństwa.“ Ten typ zrzeszeń gospodarczych, wolnych i jak największej wolności łaknących (w ich polityce ma to wyraz „prawa swobody stowarzyszania się“), istotnie na czynnikach nie-materyalnych oparty, bo na uspołecznieniu, na wzroście solidarności i świadomości klasowej—na „podobieństwie“ w słownictwie B.—ostro przeciwstawia się innemu typowi: „przedsiębiorczemu.“ Genezę swoją — co przyznaje i dr. B. — ma on w zróżnicowaniu się społeczeństwa na kasty i klasy — w skupieniu środków produkcyi w ręku grupy przeważającej. Różnica kultury klas, niezdolność do współdziałania samorzutnego, ograniczoność środków wytwarzania, społeczna konieczność gromadzenia dóbr, zrodziły ten typ ustroju wytwórczego.

Zagląda socyolog w jego mechanizm i widzi w nim trzy „momenty“ — przez swe ściśle połączenie łacno mieszane. Jest to naprzód inicyatywa i zarząd organizacyi gospodarczej, następnie sama praca wytwórcza, stanowiąca racyę bytu przedsiębiorstwa w stosunku do społeczeństwa, i wreszcie *przywłaszczenie wytworu*. Ale właściwą cechą przedsiębiorstwa, jako szczególnej postaci zorganizowanej kooperacyi gospodarczej, jest najoczywiściej sprawa podziału wytworu pracy zbiorowej. Z dwóch celów, ku którym ono zmierza, jeden tylko jest społecznym: eksploatacya bogactw przyrodzonych, czyli wytwarzanie zrzeszone. Drugi zaś, wyzyskiwanie wytwórczych sił pracy i rozpodział dochodu zbiorowego na zyski i płace — jest wyłącznie prywatnym. Tak więc w grupie wytwórczej, typu przedsiębiorczego, odnajdują się wszystkie cechy drugiego rozgałęzienia „ustroju samorzutnego,“ tj. stowarzyszenia przez obokległość (*ass. par concomitance*). Z jednej bowiem strony, o ile wszyscy współuczestnicy produkcyi dbają o dobry bieg jej spraw, nastręczają oku socyologa „podobieństwo“ i „zgodność“ interesów, słowem — kooperacyę samorzutną, czyli pierwiastki spółki na podobieństwie opartej; z drugiej — ponieważ w tego rodzaju ustroju gospodarczym tkwi nieodłącznie w stosunkach dostarczycieli środków wytwarzania z pracownikami rozbieżność i rozterka

w podziale, mamy na gruncie spontaniczności podobnościowej zjawisko niezgody—przymieszkę czysto mechaniczną, „obokległą“—prywaty, różnorodności samolubnej i przymusu, słowem, czynniki, które, zachowując promienne oblicze „ustroju samorzutnego,“ wysuwają na plan pierwszy jego pół-podobne, różno-jedne, posępne drugie oblicze. Ponieważ ono jest w gruncie rzeczy tylko symbolem chaosu i walk, wstrząsających współczesnym najemniczo-towarowo-wymiennym ustrojem gospodarczym — chaosu i walk, zakłócających ciszę i ład „ustroju samorzutnego,“ przeto główną ich przyczynę, kość niezgody: sprawę podziału, wyrzuca dr. B. (dość zgodnie zresztą z rzeczywistością) po za obrąb tej świątyni „Boga-Społeczeństwa.“ Uważa on słusznie rozpodział wytworu pracy zbiorowej za żywioł absolutnie obcy sprawie kooperacyi zorganizowanej, za funkcyę nie-zbiorową, za układ stosunków odosobnionych i „niemających żadnej indywidualności.“ Jako wynik nierówności sił i organicznej różnorodności klas, ma rozpodział właściwą dziedzinę swoją w łonie „ludu,“ który rządząc się prawem różniczkowania, staje w poprzek „wolnemu polotowi całkowania kooperacyjnego,“ bo pożerany jest walką o byt. To jest zatarg klas—powiada B.—i wszelkie usiłowania rozstrzygnięcia sprawy w obrębie odosobnionej grupy wytwórczej są bezskuteczne. Podniesienie płacy na stałe niemożliwem jest bez łącznej akcyi wszystkich robotników danego fachu na rynek. Że ona przybiera postać związków zawodowych (syndykatów najemniczych), dowodzi to, iż one mają cele niezależne od sprawy produkcyi zrzeszonej. Dlatego to chęć wciągnięcia robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstwa — „pomimo swej prostoty i jawnej sprawiedliwości“ — uważa B. za dzieło filantropii bez doniosłości społecznej. Ostateczny wniosek taki, że, o ile przedsiębiorstwo ma na celu wspólny wyzysk wytwórczych sił przyrody, o tyle jest czynnością zbiorową i sprowadza się do typu samorzutnych zrzeszeń wogóle. Ta jego cecha uwydatnia się w spółkach akcyjnych, tak bezosobowych i szeroko odsłaniających socyologowi jednorodne, *narodowe*, oblicze ustroju samorzutnego. Bo naród u dr. B. jest podścieliskiem „społeczeństwa politycznego,“ które rozwija się i doskonali przez „ustrój samorzutny.“

Zyg. Piętkiewicz.

Wisła. Tom IX, zeszyt I, II, III i IV. Rok 1895.

Pożyteczne to wydawnictwo stanowi dowód sumienności i staranności redakcyi w opracowaniu artykułów, w wyborze treści i obfitości materyału. Na czele zeszytu I p. Jan Witort mówi o spólnocie rodzinnej i majątkowej u Litwinów. „Taka spólnota rodzinnna składa się zwykle z ojca rodziny i jego żony, synów żonatych i kawalerów, córek zamężnych i panien, zięciów, wnuków, a czasem i osób adoptowanych, chociaż rzadko. Ci ludzie zwykle mieszkają razem pod jednym dachem, wspólnie wytwarzają i używają, podlegając ściśle władzy patryarchalnej swego zwierzchnika; wzajemna solidarność społeczno-gospodarcza łączy ich w jedną całość. Każda taka spólnota rodzinna posiada mienie wspólne, do którego należą: grunty, zabudowania i narzędzia gospodarskie, bydło, inwentarz żywy, zapasy zboża, żywności, lnu, wełny itd., słowem wszystko, co jest konieczne do wytwarzania, oraz zaspokajania potrzeb jej członków.“ Na czele stoi ojciec, albo w zastępstwie jego ktoś starszy z rodziny. Nazywa się on *gospodoris*. Spadkobranie, ani dziedziczenie w spólnotach tych nie istnieje. Znane są tylko działy, i to za zgodą wszystkich pełnoletnich mężczyzn. Spólnota ta znaną jest u Wielkorusów i zasadza się nie na pokrewieństwie, lecz spólności pracy i wynikającego stąd gospodarstwa łącznego. Jest to system „artelowy.“

Następnie idą dalsze ciągi zbiorku Ottona Knoopa p. t. „Podania i opowiadania z W. Ks. Poznańskiego,“ oraz Adolfa Czernego „Istoty mityczne Serbów łużyckich.“ Władysł. Traczyk podaje baśń o smokach i płanetnikach z okolic Babiej Góry. Z właściwości gwarowej nad Rabą i Skawą godne są zanotowania niektóre zjawiska. Lud podtatrzański w górę doliny rzeki Raby aż po Myślenice, wymawia *y* cienko, jak *i*, nie zmiękczając poprzedzającej spółgłoski, np. *siba*, *cisty* itp. W niektórych okolicach *ą* dźwięczy jak *ę* i odwrotnie, a czasem jak *y*: g*y*ba (gęba), r*y*ka (ręka), z*y*by (zęby) itp.

P. Helena Chamska opisuje zwyczaje świąteczne w gub. Płockiej p. t. „Święta i uroczystości doroczne w Męczeninie pod Płockiem.“

P. Rodziewicz zwraca uwagę na pomysłowość i wynalazczość ludu litewskiego w rozmaitych sposobach łowienia ryb (Rybactwo na Litwie).

P. Seweryn Udziela przywodzi legendy ludu z pod Starego Sącza o św. Kunegundzie, wielkim dzwonie u fary w Starym Sączu i grzybach.

Ze względów dyalektologicznych godną jest uwagi bajka o „Dziewczynie bez (przez) rąk,“ przez Z. A. Kowerską.

P. Karłowicz obdarza nas odmiankami pieśni, dotyczącemi króla Leara.

Ks. B. Sk. mówi o szopce w Myszyńcu.

P. M. Rawicz Witanowski wspomina o legendzie założenia najdawniejszego kościoła w Wieluniu, a przytem najstarożytniejszego klasztoru Augustyanów w dawnej Polsce. Owóż Władysław Plwacz (Odonicz), ks. kaliski i rudzki, polując w okolicach Rudy (o 3 wiorsty od Wielunia), zoczył jelenia, który niebawem znikł, a natomiast objawił się baranek nad kielichem. Na miejscu tego zjawiska, założył książę pustelnię dla zakonników reguły św. Augustyna. W herbie wieluńskim zachowany jest baranek z chorągiewką. W dzisiejszym kościele Augustyanów w Wieluniu widzieć można nad wielkim ołtarzem głowę jelenia z monstrancyą. Zdaje się, że sama nazwa „Wieluń“ jest w związku z jeleniem. Pająki z rogów jelenich znajdują się w Kazimierzu nad Wisłą, w Kłobucku i w Warszawie w kościele św. Marcina, na co od siebie zwracam uwagę.

Pp. Bystroń, Wawrzeniecki, Jastrzębowski i Dickstein nadesłali rozmaite drobiazgi, dotyczące legendy o św. Piotrze i podkowie itd.

Bogatym jest dział poszukiwań.

Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące pióra pp.: Karłowicza, Bronisł. Grabowskiego, Rafała Lubicza, Ludwika Krzywickiego i in.

Przegląd czasopism przez Waleryę Marrené, Rafała Lubicza, Szczęsnego Jastrzębowskiego, Tołwińskiego, Z. A. Kowerską itp.

P. Leon Wasilewski opisuje dział etnograficzny na wystawie lwowskiej.

P. Karłowicz donosi o założeniu dwóch towarzystw etnograficznych, jednego we Lwowie, drugiego we Wrocławiu. Nowości nadesłane na wystawę etnograficzną w Warszawie i nowości księgarskie zakończają ten zeszyt.

Zeszyt II zawiera: dr. Karola Matyasa, „Wesele Stalowskie,“ Czernego Ad. (c. d.) „Istoty mityczne u Serbów łużyckich,“ Klechda o rycerzach śpiących zjawia się u wszystkich ludów indoeuropejskich. Znaną jest baśń o Fryderyku Rudobrodym, śpiącym w Kyffhäuser (w Turyngii). „I w Łużycach serbskich podobne podania są znane — mówi p. Cz. — znajdujemy w nich te same szczegóły, co w podaniach tylko co wspomnionych. Takie powieści spotykamy w Lubinie (niem. Thronberg), o 1½ godziny drogi na południo od Budyszyna, o górze Lubijskiej (niem. Löbauer Berg) pod Lubijem, na pograniczu mowy serbo-łużyckiej, o Kaponicy (niem. die Hahneberge), również w Łużycach Górnych na granicy saskopruskiej, pod wsią Nieradkiem, o górze Wósmużowej (niem. Stromberg) pod Wósporkiem; podobną powieść powtarzają o Strzadowie w Łużycach Dolnych.“ Niektóre tego rodzaju podania zdradzają pochodzenie czeskie, jak np. o górze Płonickiej, co przypomina o rycerzach w Blaniku. Jest mnóstwo innych klechd, których streszczenie nie kwalifikuje się do naszego pisma. Knoop Otto, „Podania i opowiadania z W. Ks. Poznańskiego“ (c. d.).

Konstanty Rayski, „Śpiewki i zagadki ze wsi Białej Błotnej (powiat Włoszczowski)“.

Prof. Ant. Mierzyński mówi o krywulach, tj. laskach zagiętych (Nuncius cum baculo). Według autora „w całem Królestwie Polskiem, w Galicyi, na Szląsku, w Łużycach, w Poznańskiem, w Prusiech Zachodnich i Wschodnich, wśród ludności polskiej i litewskiej, dalej na Litwie, Żmujdzi (Łotwie), w Szwecyi, Norwegii i Danii, u Niemców, Szkotów (Keltów), a nawet u plemion turańskich, używano dawniej, a po części używają dotychczas laski zakrzywionej, niekiedy też prostej lub jej odmian (jako to: młota, krzyża, a w jej zastępstwie tabliczki, deseczki itp.) do obsyłania kogo należało z zawiadomieniem publicznem, obchodzącem i obciążającem obesłanych. Nie wątpimy, że zwyczaj ten panował jeszcze u wielu innych, tutaj nie wymienionych ludów.“ Zastępowało to pierwotną sztuki pisania nieznajomość. Kapłan Kriwe w Romowe w Prusiech nie miał władzy nad wszystkimi Litwinami, Prusakami, Żmujdzinami i Łotwą, jak chce Piotr z Duisburgu; dlatego nie wysyłał kriwuli do wszystkich tych ludów; mógł on to czynić w Nadrowii, tj. w krainie, gdzie było jego siedlisko.

Panny Sarnowska i Kowerska nadesłały dwie baśnie. W poszukiwaniach umieszczone są odmianki przysłów, nie umieszczonych w *Księdze* Adalberga. Zebrali je pp.: Bugiel, St. Cercha, L. Hempel, Wł. Kosiński, W. Niedźwiedzki, Osipowicz, ks. W. Siarkowski i Zygm. Wasilewski.

Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące, pióra pp. Bronisł. Grabowskiego, Raf. Lubicza, J. Karłowicza, Z. Wasilowskiego, Przegląd czasopism pióra: Wacława Nałkowskiego, R. Lubicza, Wincentego Ronisza, Gabr. Tołwińskiego.

Zeszyt III zawiera przyczynki do „Króla Leara.“

P. Konstanty Rayski nadesłał „Śpiewki i zagadki ze wsi Białej“ (powiat Włoszczowski, dokończenie), „Pieśń o Starej Kowalce“ jest próbą spółczesnej i nigdy niewygasającej twórczości ludowej.

Knoopa Otona: „Podania i opowiadania z W. Ks. Poznańskiego“ (dokończenie).

Uwagi i przypisy zawierają ciekawe spostrzeżenia co do zabobonów ludowych.

P. Łętowski Aleksander „Z życia ludu białoruskiego.“ Autor zwraca uwagę, że chaty białoruskie, acz niepozorne, jednak obszerniejsze i wygodniejsze są od polskich i małoruskich. Chaty kurne znaleźć można na Polesiu. Gonty na dachach zastąpiły dawniejszą słomę. Oświetlenie łuczywem ustępuje powoli przed lampą naftową.

P. J. Karłowicz (Systematyka pieśni ludu polskiego) wykazuje bogactwo pieśni ludowej co do treści i ilości.

Władysł. Kornel Zieliński (Pochodzenie i niektóre zwyczaje Cyganów polskich) dzieli Cyganów na koczujących (kotorarów) i osiedlonych (gletetszorara).

Koczujący znowu rozpadają się na cztery pokolenia. Każde z nich ma jakieś podanie fantastyczne o swoim początku. Mimo pozornego wyznawania chrystyanizmu, utrzymują Cyganie osobny kult religijny. Mają oni szczególny wstręt do fasoli i kaszy jaglanej.

P. Wiercieński, opierając się na starej księdze z 1648 r., (Ze starych szpargałów), dowodzi, że własność ziemska w gub. Lubelskiej tak się w owych czasach rozdrobniła, iż małe majątki wchłonięte zostały przez większe. W XVIII w. widzimy już tam same większe dominia.

Wł. Matlakowski nadesłał melodyę dożynkową.

P. Kowerska obdarza nas dwiema baśniami.

P. Karol Matyas pisze „O przezwiskach ludowych w powiatach: Tarnobrzeskim, Niskim i Brzeskim w Galicyi.“

Pouczającą jest „Kronika geograficzna“ Wacława Nałkowskiego. Mówi on o zmianach szerokości geograficznej, pomiarach południka, skorupie ziemskiej i jej ogólnej plastyce, wyspach, ruchach wybrzeży, trzęsieniu ziemi, powstawaniu jaskiń (i dolin), dolinach wyłomowych i gejzerach.

W. M...ów podaje „Ubiór włościan w pow. Nowomińskim“ (z ryciną).

P. Ludwik Reyman stawia hypotezę, jakoby nazwa „kmieci“ oznaczała pierwotnie tych włościan, którzy mieli udział w obradach gminnych, a nie radców królewskich lub książęcych u Słowian; bo ci, aczkolwiek również miano „kmieci“ nosili, jednak nie upadli tak nizko, aby do stanu poddanych mieli być zaliczeni. Sam wyraz ma niejakie pokrewieństwo z wyrazem „kum,“ „kmotr“ lub łacińsk. „comes.“ Nazwą tą obdarzano niekiedy wojowników.

W zesz. IV Adolf Czerny zajmuje się dalej Istotami mitycznemi Serbów łużyckich. W części tej rozprawy autor mówi o istotach, wpływających na dolę człowieka. W chorobach i dolegliwościach wszelkiego rodzaju, człowiek pierwotny widział przyczynę tego w chwilowem opuszczeniu duszy, pozostawiającej ciało na łup dolegliwości, wywołanej przez jakiegoś obcego ducha. Są to więc złe duchy, które wychodzą ze swoich kryjówek i napastują ludzi. Lekarze więc, a raczej wróżbicy starają się wywabić złego ducha z ciała, na czem właśnie polega system ich kuracyi.

P. Napoleon Rouba mówi o Łachwie i jej mieszkańcach. Są to dobra niegdyś Radziwiłłów, następnie Wittgesteinów w gub. Mińskiej, pow. Mozyrskim. Zajmują one znaczną część Polesia północnego. Okolice przeważnie lesiste. Lud mówi gwarą, stanowiącą mieszaninę białoruskiego z maloruskim. Moralność mieszkańców bardzo podejrzana.

P. Zygm. Gloger opisuje „Frycowe w Korytnicy.“ Wieś ta leży w gub. Siedleckiej, pow. Węgrowskim. Jest to obrząd, dotyczący młodzieży, występującej po raz pierwszy z kosą na łące. Fryc wykupuje się w karczmie od dalszego prześladowania. Początek tego zwyczaju autor przypisuje wpływowi niemieckiemu i odnosi do wieków średnich.

P. H. Ł. nadesłał nowy przyczynek do króla Leara w postaci piosneczki w pobliżu Cieszyna na Szląsku.

Ciekawym jest obszerny artykuł p. Bronisława Grabowskiego „Wystawa etnograficzna w Pradze czeskiej.“ Autor zaznacza powodzenie, jakiego wystawa ta doznała.

W wydawnictwie „Wisły“ widać wielką staranność redakcyi. Przyszłość zasługi jej oceni.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Dygasiński. *As*, powieść. Warszawa, nakład G. Centnerszwera, 1896, str. 212.

Elegant warszawski, Albin Zabrzeski, pędził życie bezmyślne, dostatnie i wesołe aż do połowy czwartego krzyżyka. Skwaśniał następnie, zaczął poziewać przy wincie, zarzucił nawet najmodniejszy z dogorywających dziś sportów — na bicyklu. Cóż mu pozostało? — ożenić się — oczywiście. Niema u nas panny czternastoletniej, któraby się nie domyślała tego nieuniknionego w romansach rozwiązania. Sprawa zasadza się jedynie na tem, kto pośrednictwa się podejmie: czy bogini Wenus, jak za klasycznych czasów Osińskiego, czy gwiazdka lub obłok, jak w epoce romantyzmu Gosławskiego, czy też poprostu Żyd lub Cyganka, jak u nas bywało zawsze. U p. Dygasińskiego rolę tę spełnia... pies. Nieokreślony na razie powód niesmaku i zniechęcenia Albina Zabrzeskiego przybiera postać myśliwską. Pewnego dnia ex-elegant odczytuje w *Kuryerze codziennym* ogłoszenie, że X. pragnie sprzedać wyżła. Albin udaje się pod wskazany adres i znajduje tam sześć sióstr panien, z których najmłodsza, Morusieńka o uroczych oczach, staje się najpierwszą zwierzyną, jaką bohater upoluje z pomocą nabytego czworonoga. Pościg odbywa się szybko, lubo nie bez przeszkód i niezręczności, w których rzędzie najwybitniejsze miejsce zajmie następująca scena na ulicy: Albin spotyka Morosieńkę na rogu Obożnej i Krakowskiego Przedmieścia, goni przelęknioną dziewczynę, „lekchno i w mgnieniu oka“ podnosi ją z chodnika — gdy upadła potknąwszy się i krzyknęła „ach!“ — wreszcie zaklina niebogę, ażeby się go nie obawiała i składa przy tej sposobności „niezmiernie gorący pocałunek na pięknej rączce bez rękawiczki.“ Nim się skończył drugi rozdział powieści, na ogólną liczbę siedmiu, Albin nietylko się ożenił z Morusieńką, ale też zdążył przesycić się widokiem i słodyczą jej „oczu uroczych“; próbuje nawet wymknąć się od niej niekiedy ciehaczem na uboczną ścieżkę, samowtór ze swoim Asem (tak się nazywał wyżeł). Ludzie, których poznaliśmy dotąd, zrobili już swoje i nic więcej w zasadzie do pokazania nam nie mają; na placu pozostają tylko psy, ale i one na żadne nowe sztuki nie zdobywają się przed nami.

As dostaje się na naukę do wsi Zbójeckiej, gdzie niejaki Benedykt Ochota i jego brat Julek utrzymują psią akademię. Jeden jest „sarmatą,“ dlatego, że ma kark i wytrzymałość taką, iż przed nim drżą złodzieje okoliczni, drugi zwie się „filozofem,“ gdyż imponuje swojemu otoczeniu pomysłami i językiem, o każdym opryszku wyraża się: *psiakrew komunista*, smutnego człowieka nazywa mizantropem, kłamstwo — improwizacyą, złość — irytacyą, głupstwo — herezyą itp. Klucznicą w akademii jest Ajnemerowa, „wysoka, chuda, rozczochrana wiedźma z twarzą pokrytą bliznami,“ a obok niej jej syn dwudziestoletni, Olfaś, „długi, cienki drągal, odznaczający się czubatą głową, rudymi włosami, dużym nosem, jakby przełamanym w środku i skrzywionym w prawą stronę, ustami przypominającemi otwór słoika, z których wyglądały zęby podobne do zajęczych“ itd. W tak pobratymczych warunkach otoczenia i edukacyi As zostaje skończonym „łapikurą“: kradnie najpierw drób' sąsiadom, następnie zabiera się do własnego podwórka; pochwycony raz na gorącym uczynku, otrzymuje bez sądu i konfrontacyi świadków, plagi tak siarczyste, że operacya porównaćby się dała chyba do katuszy, jakie w czwartym dziesiątku naszego stulecia zadawano publicznie skazanym na opieczętowanie łba, policzków, ramion i karku. As zrywa w trakcie chłosty umowę i zmyka do Warszawy, gdzie tymczasem Albin Zabrzeski poczynił już pewne postępy w kierunku „ucieczki od domowego szczęścia“; pies przewąchać umie odrazu nową sytuacyę, ale wychodzi na tem jak najgorzej, bowiem jego umizgi na przechadzkach w Łazienkach, podpatrzone przez Morusieńkę, prowadzą do odkryć, zniewalających go do opuszczenia domu i ostatecznie — do emigracyi wśród „obcych.“ As dostaje się do ogrodu Zoologicznego i zajmuje opróżnioną klatkę z napisem: *lupus*; jest czas jakiś przedmiotem podziwu i rozpraw naukowych odwiedzającej publiczności, przenosi się następnie do wielkiego majątku w Mączynie, doświadcza wszystkich skutków i zastosowań przysłowia: łaska pańska na pstrym koniu jeździ,—wynosi się do miasteczka pomiędzy psy błędne i w epilogu, zadarłszy w nocy z kotem przed oknami doktora, ogłoszony zostaje za „wściekłego“ i płonie wśród stert zboża za miasteczkiem, które z zawiści podpala poprzedni dzierżawca folwarku.

Nitka tych psich przygód przewija się pomiędzy mnóstwem obrazków rodzajowych, niczem innem z sobą nie związanych i nie spowinowaconych. Możnaby epopeę rozciągnąć nawet do rozmiarów Mahabharaty, opędzając lub obwożąc Asa po sławnych stolicach starego i nowego świata, pokazując przytem klasyczne wodospady Renu, Niagary, śnieżne szczyty Alp, bujne stepy amerykańskie, Koreę, Armenię, Kretę, Wilhelmsbohe, Aussee, St. Cloud, Varzin, republikę Boerów i t zym spalony za Nerona. Autor wolał pozostać w granicach ziemi ojczystej — od Wisły, wzdłuż kolei Terespolskiej, do Wieprza i Horynia. Wydawcy przewodników kolejowych powinniby mu za to być wdzięczni, a ponikąd to i krytycy.

Realizm psychologiczny przeprowadzony wszędzie starannie. Psy rozmyślają, rozumują i kombinują zbyt może po ludzku: „Ukazanie się Asa na placu ewangielickim wraz z pudlem, zaglądającym mu w zęby, przerwało wesołe gonitwy zgromadzonia psiego. Wszystkie psy, ile ich tam było, zwróciły *ciekawe* oczy na przybyszów, a każdy zdawał się wzrokiem *zapytywać*: „Co też ten wyżeł może nieść w zębach?“ Na widok Albina Zabrzeskiego „As miał również chętkę drapnąć za innymi, ale go widocznie przykuwała wiara w przyjaźń i rozum pudla...“ „Obaj druhowie puścili się teraz kłusem około cukierni Sztengla, przystanęli na rogu przy domu Blocha, porozumiewawczo spojrzeli sobie w oczy“ (14—19). Nawzajem, człowiek za wiele i za często zdradza się z psią duszą. Wyjątku od tej reguły, trafnie obejmującej spory poczet okazów naturalnego i cywilizacyjnego zwyrodnienia, p. Dygasiński nie czyni nawet dla istot wybranych, wyborowszych, np. dla Morusieńki. Pani Zabrzeska, przekonawszy się o zdradzie i podłości męża, raniutko cichutko wymyka się z domu z przeświadczeniem ugruntowanem, że jest w nim „niepotrzebną,“ ale wałęsając się bez celu i widoku po mieście, reflektuje siebie uwagami i względami, zniewalającymi czytelnika do odwrócenia kartki i przekonania się, czy, przypadkowo nie znajduje się na placu... ewangielickim. Na Mazowieckiej zaczyna ją trapić pytanie: „I dokądże pójdę?“ Na ulicy Ber-

ga opada ją skrupuł w formie innego pytania: „Alboż mąż i żona zawsze z sobą gruchać mają, jak gołąbki?“ W ogrodzie Saskim powiada już do siebie: „Los nas połączył, musimy żyć wspólnie...“ I pierw nim zegary wydzwoniły dziewiątą, „wróciła na Erywańską, rzuciła się mężowi na szyję, pierwsza zaczęła go *przepraszać*“ (128).

Morały samego autora, gęsto w książce rozsiane, są nieraz dobrze dopasowane do poziomu akcyi, czy to psiej, czy ludzkiej, jak np.: „Jest to niezmiernie uciążliwe nosić z sobą wszędzie przez całe życie żołądek i nieubłaganą potrzebę zaspokojenia jego głodu; całuteńki żywot sprowadza się w gruncie rzeczy do uczuwania głodu i przemyśliwania, jak go zaspokoić; trzeba sobie łamać głowę, brać się na sposoby, wyzyskiwać stosunki, tworzyć zuchwałe pomysły, ostrzyć swą odwagę, aby tylko nie umrzeć z głodu“ (188). Ale nie zbywa też i na sentencyach mniej szczelnie przystających do osnowy opowiadania, zaczerpniętych z wątpliwego źródła uczoności książkowej, a przepowiedzianych mętnie, od niechcenia, bez wielkiego ładu i składu: „Prawa odwieczne działają, i tak czy inak muszą się spełnić, a człowiek mniema, że to on działa, czuje, myśli... Ostatecznie on jest tylko zadowolony lub niezadowolony; bieg wypadków pcha go w jednym albo w drugim kierunku. I nikt a nikt nie jest tak mądry, aby posiadł klucz logiki szczęścia i nieszczęścia, aby konsekwentnie przewidział, ku jakiemu kresowi zmierza... Głupi ma nawet pod tym względem wyższość nad mądrym“ (59). Takie wiórki rzuca się u nas na prawo i lewo zanadto często i samowolnie.

*

SPRAWY EKONOMICZNE

Działalność Banku włościańskiego

w granicach gubernii Radomskiej.

W opracowanej przeze mnie i drukiem ogłoszonej 1892 roku broszurze: „Rys stosunków ekonomicznych gubernii Radomskiej“ wykazałem ogólną przestrzeń gruntów tej gubernii w ciągu lat 30 (od 1859 do końca 1890 roku) rozkolonizowanych — z dodaniem różnych ciekawych szczegółów, dotyczących całkowitej parcelacyi majątków ziemskich tego obrębu, a między innemi nadmieniłem, że w ogólnej cyfrze rozkolonizowanych do końca 1890 roku gruntów, wynoszących mórg 148,950 (stron. 93) mieści się przestrzeń 291 mórg, nabytych przez włościan za pośrednictwem Banku włościańskiego. Obecnie zamiarem moim jest wykazać w szczegółach całkowitą działalność rzeczonego Banku w ciągu całego blizko 6-letniego okresu, to jest od października 1890 do 1 lipca 1896 roku, z włączeniem więc już dokonanych, w broszurze wymienionych, tranzakcyj.

Obraz tej działalności przedstawia niniejsza, skromna praca, która — jakkolwiek nie maluje tych ciekawych epizodów, jakie wytwarza wyobraźnia Dumasa, Zoli, Verne'a i innych „romansotwórców,“ w każdym jednak razie może znaleźć pewne, choćby mierne, uznanie u ludzi, interesujących się podobnemi sprawami, i statystyków, tak samo, jak moja poprzednia, w obszerniejszym zakreślona programie.

I. Powiat Iłżecki.

Rok 1892, Hermanów A — Tomaszów osób 19, przestrzeń sprzedana: dzies. 107, sąż. 254, mórg 210, szacunek 10,500, suma pożyczki 8,500, dopłata z funduszów włościan 2,000; 1893 r., Piętkowice: osób 34, dz. 192, s. 36, m. 375, szac. 16,897, poż. 14,000, dopł. 2,897; r. 1894, Chotcza—Chotcza górna: osób 38, dz. 295, s. 1,127, m. 576, szac. 24,265, poż 15,500, dopł. 8,765; r. 1894, Chotcza — Chotcza nowa: osób 27, dz. 178, s. 311, m. 348, szac. 12,440, poż. 10,000, dopł. 2,440; r. 1894, Lipa Miklas — Małgorzacin: osób 18, dz. 138, s. 810, m. 270, szac. 13,500, poż. 9,000, dopł. 4,500; r. 1894, Dąbrowa Wólka — Poręba: osób 21, dz. 95, s. 1,176, m. 186, szac. 9,316, poż. 7,356, dopł. 1,960; r. 1894, Siekierka: osób 29, dz. 306, s. 1,094, m. 598, szac. 11,945, poż. 9,168, dopł. 2,777; r. 1895, Gardzienice — Kałków: osób 27, dz. 137, s. 820, m. 268, szac. 13,500, poż. 10,300, dopł. 3,200; r. 1896, Potoczek — Niziny: osób 32, dz. 97, s. 698, m. 190, szac. 19,190, poż. 16,000, dopł. 3,190; rok 1896, Okół — Okół A: osób 57, dz. 327, s. 611. m. 640, szac. 34,078, poż. 25,500, dopł. 8,578. Razem grup 10, osób 302, dz. 1,874, s. 2,137, m. 3,661, szac. 165,631, poż. 125,324. dopł. 40,307.

Z wyżej wykazanych 302 osób *nabyli*: 1 os. 61 mórg, 3 os. po 31 mórg, 2 po 26 mórg, 8 po 21 mórg, 2 po 20 mórg, 1 os. 18 mórg, 6 po 15 i pół m., 30 po 15 mórg, 117 po 11 mórg, 45 po 10 mórg, reszta zaś różne przestrzenie gruntów. Prócz tego, na *wspólną* użytkową własność ci koloniści nabyli 112 mórg pastwisk, dróg, wygonów, wód itp. Z powyżej ułożonego wykazu widać, że *szacunek* jednej morgi we wszystkich 10-ciu sprzedażach średnio wynosi około rubli 45, a jednej dziesięciny około rub. 88; najwyżej, gdyż 101 rub. za morgę, zapłacili nabywcy części dóbr Potoczka; najtaniej, gdyż tylko po rs. 20 za morgę, zapłacili koloniści w dobrach Siekierka. Następnie kapiono: w Okole po rub. 53, w Piętkowicach po rs 45, w Chotczy po rub. 42 i 35, w pozostałych dobrach po rubli 50 za morgę. Na jedną dziesięcinę udzielono średnio po 66 rubli *pożyczki* bankowej, a na jedną morgę około 34 rub. tejże pożyczki, — *dopłata* więc gotówką z funduszów włościan wyniosła na jedną dziesięcinę około 22 rub., a na morgę 11 rubli. Najmniej dopłacili koloniści z Siekierki, gdyż tylko po niecałe 5 rubli na morgę, najwięcej — nabywcy Małgorzacina, gdyż po rubli 18 na morgę. *Na jednego* nabywcę średnio wypada: w Siekierce po mórg 20 i pół, w Chotczy górnej i Małgorzacinie po 15 mórg, w Chotczy nowej po 13 m., w Tomaszowie, Pętkowicach i Okole po 11 mórg, w Kałkowie po 10 m., w Porębie po 9 m., najmniej zaś w Nizinach, gdyż tylko po 6 m., gdzie cena okazała się najdroższą. Średnio w całym powiecie wypada *na jednego* kolonistę około 6 dzies., czyli *przeszło 12 m.*

II. Powiat Koński.

Rok 1894, Stara — Gawrony Kępa: os. 17, dz. 112, s. 1,627, m. 220, szac. 9,369, p. 7,550, dopł. 1,819; r. 1894, Stara — Niwy Woleńskie: os. 18, dz. 120, s. 1,318, m. 235, szac. 10,357, p. 6,870, dopł. 3,487; r. 1894, Stara—Skrzynki: os. 20, dz. 101, s. 720, m. 198, szac. 9,290, p. 7,760, dopł. 1,530; r. 1895, Szarbska—Działy Szlacheckie: os. 10, dz. 53, s. 491, m. 104, sz. 5,372, p. 3,440, dopł. 1,932. Razem grup 4, os. 65, dz. 387, s. 1,756, m. 757, szac. 34,388, poż. 25,620, dopł. 8,768.

Z wykazanych 65-u osób nabyli: 1 os. 31 mórg, 1 os. 19 m., 2 po 16 m., 15 po 15 m., 1 os. 13 i pół m., 10 po 12 m., 2 po 11 m., 9 po 10 i pół, 9 po 10 m., 7 po 7 mórg, 4 po 6 i pół m., 4 po 6 m. Prócz tego na *wspólną* własność kupiono 11 mórg. Z powyższego wykazu widać, że *szacunek* jednej morgi w tych 4 sprzedażach wynosi średnio tyleż, co w powiecie Iłżeckim, czyli około 45 rub., a dziesięciny około $88\frac{1}{2}$ rub.; najwyższą cyfrę, 51 rub. za morgę, zapłacili osadnicy w Działach Szlacheckich — następnie w Skrzynkach zapłacono po 46 rub., w pozostałych zaś tranzakcyach po 43 rub. za morgę. Cyfra udzielonej na jedną dziesięcinę lub morgę *pożyczki* bankowej jest ta sama, średnio, jak i w pow. Iłżeckim, to jest 66 rub. i 34 rub., a tem samem *dopłata* z funduszów włościan wynosi również 22 rs. na dziesięcinę, a około 11 rub. na morgę. Najmniej dopłacali koloniści przy kupnie gruntów w Skrzynkach, gdyż około 7 i pół rub. na mordze, najwięcej zaś przy kupnie Działów Szlacheckich, mianowicie po 18 rubli na morgę. *Na jednego* nabywcę wypada średnio po sześć dziesięcin, czyli 12 mórg, jak w pow. Iłżeckim, po szczególe zaś w Gawronach i Niwach wypada na jednego po 13 mórg, w Działach Szlacheckich po 10 i pół i w Skrzynkach po 10 mórg.

III. Powiat Kozienicki.

Rok 1890, Słowiki: os. 39, dz. 200, sąż. 1,390, m. 391, sz. 27,397, poż. 17,500, dopł. 9,897; r. 1893, Wojszyn—Kierzek: os. 19, dz. 68, s. 872, m. 133, sz. 6,601, poż. 5,890, dopł. 711; r. 1893, Wojszyn—Polesie: os. 16, dz. 137, s. 1,173, m. 268, sz. 3,465, poż. 3,278, dopł. 187; r. 1894, Oziemborów—Aleksandrów: os. 20, dz. 100, s. 317, m. 196, sz. 13,334, poż. 9,850, dopł. 3,484; r. 1894, Łagów—Zamość: os. 31, dz. 229, s. 1,410, m. 447, sz. 14,470, p. 12,000, dopł. 2,470; r. 1895, Przyłęk—Okrężnica: os. 41. dz. 192, s. 1,938, m. 375, sz. 15,085, poż. 11,200, dopł. 3,885; r. 1895, Babin—Mirków: os. 20, dz. 82, s. 2,063 m. 162, szac. 7,227, p. 6,317, dopł. 910; r. 1895, Babin—Stefanów: os. 20, dz. [illegible], s. 2,006, m. 189, sz. 8,379, p. 7,252, dopł. 1,127; r. 1895, Babin—Wysocin: os. 32, dz. 158, s. 2,076, m. 310, sz. 13,950, p. 12,400, dopł. 1,550; r. 1895, Wojszyn—Ossów: os. 11, dz. 58, s. 2,176, m. 115, sz. 2,900, p. 2,500, d. 400; r. 1896, Oziemborów—Józefów, os. 33, dz. 54, s. 2,160, m. 107, sz. 18,430, p. 14,430, dopł. 4,000. Razem grup 11, os. 282, dz. 1,381, s. 788, m. 2,693, sz. 131,238. poż. 102,617, dopł. 28,621.

Z podanych osadników nabyli: 1 os. 37 i pół morgi, 3 po 30, 1 — 25, 1 — 22 i pół, 1 — 21, 2 po 20, 3 po 17, 1 — 16 i pół, 3 po 16, 42 po 15, 5 po 12, 90 po 10, 19 po 8, 18 po 6, 30 po 5 mórg, reszta różne przestrzenie. Prócz tego *wspólna* własność wynosi 12 i pół mórg. Wedle powyższej tablicy, najwyższy *szacunek* jednej morgi wynosi blizko 172 rs. w Józefowie Oziemborowskim, czyli za dziesięcinę zapłacono 340 rs.; następnie tenże szacunek wynosi: w Słowikach 70 rs., w Aleksandrowie 67, w Stefanowie, Wysocinie i Mirkowie około 45, w Kierzku 50, w Okrężnicy 40, w Zamościu 32,50, w Ossowie 25 rs.; najniższy w Polesiu: tylko 13 rs. Średnio w całym powiecie płacono za dziesięcinę około 95 rs., a za morgę około 48 rs.

Pożyczki udzielono z funduszów bankowych po 75 rs. na dziesięcinę, a około 38 rs. na morgę; najwyższą pożyczkę, gdyż 134 rs. na morgę, otrzymali nabywcy Józefowa. *Dopłata* z własnych funduszów kolonistów wynosi około 20 rs. na dzies. i 10 rs. na morgę. Najmniej, bo zaledwie *70 kop.* na morgę, dopłacali włościanie z Polesia. 3 i pół rs. włościanie z Ossowa, 5 rs. z Mirkowa; najwięcej dopłacili nabywcy Józefowa, gdyż prawie po 40 rs. na morgę, i w Słowikach — 25 rs. na mor.

Na jednego osadnika średnio przypada: w Polesiu po $17\frac{1}{2}$, w Zamościu po $14\frac{1}{3}$, w Słowikach i Ossowie po 10, w Aleksandrowie i Wysocinie po $9\frac{3}{4}$, w Stefanowie po $9\frac{1}{2}$, w Okrężnicy po 9, w Mirkowie po 8, w Kierzku po 7 mórg; w Józefowie najmniej, gdyż po 3 i pół morgi na jednego. W całym powiecie średnio na jednego osadnika wypada około 5 dziesięcin, czyli przeszło 9 i pół morgi.

IV. Powiat Opatowski.

Rok 1892, Kochów: osób 46, dzies. 181, sąż. 2,009, mórg 355, szacunek 35,100, pożyczka 23,000, dopłata 12,100; r. 1896, Rudniki—Bratkowszczyzna: os. 15, dz. 52, s. 1.815, m. 103, sz. 10,200, p. 7,500, dopł. 2,700. Razem grup 2, os. 61, dz. 234, s. 1,424, m. 458, sz. 45,300, p. 30,500, dopł. 14,800.

Z powyższych 61 osadników *nabyli*: 1 os. 19 mórg, 1 — 16 m., 1 — 14 m., 3 po 12, 1 — 11, 1 — 10, 3 po 9 i pół, 1 — 9, 3 po 7 i pół, 6 po 7, 39 po 6, 1 os. 5 i pół morgi. Prócz tego na wspólną własność nabyto 9 i pół morgi. Średni *szacunek* jednej dziesięciny wynosi około 192 rs., a jednej morgi 100 rs. Cyfra *pożyczki* bankowej na jedną dziesięcinę wynosi 130 rs., zaś na morgę około 66 rs. *Dopłata* wynosi na dziesięcinę 62 rs., a na morgę około 34 rs. *Na jednego* kolonistę wypadu około 4 dziesięcin czyli przeszło 7 i pół morgi.

(D. c. n.).

Jan Romanowski.

W DALI.

Płock. Przytułek dla upadłych dziewcząt, założony w Płocku niedawno, jak zapewnia korespondent *Gaz. Polskiej*, spełniać ma doskonale swe zadanie i rozszerza zakres swojej działalności. Gdy dawniejsze pomieszczenie okazało się za ciasnem, „szlachetne“ fundatorki zbudowały nowy dom frontowy przy Starym Rynku. Wobec szybkiego wzrostu liczby dziewcząt, tulących się pod skrzydła przytułku, postanowiono wprowadzić pracownię sukien i warsztaty tkackie, któreby wyrabiały płótna, chodniki, ręczniki, fartuchy i wełniaki dla kobiet wiejskich, w razie zaś powodzenia, i wełny na suknie damskie. W tym celu, dla nauczenia się tkactwa i obeznania z warsztatami, wysłano roku zeszłego do Stanisławowa (pow. Nowomińskiego, gub. Warsz.) jedną ze stałych pracownic, która w ciągu trzymiesięcznego tam pobytu nauczyła się dokładnie tkactwa i dobierania deseni. Sprowadzono też na wzór całkowity warsztat tkacki ze Stanisławowa. Idzie teraz tylko o to, żeby „umaralniająca“ fabryka tkacka byłych jawnogrzesznic znalazła poparcie u publiczności. Zakład obiecuje ustami reportera wytwarzać towar dobrze i sprzedawać go niedrogo. Korespondent, zagrzewając panie wiejskie, ażeby zachęcały lud do robienia zakupów i obstalunków w przytułku „Ś. Anioła Stróża,“ wyraża nadzieję, że on (tj. przytułek) stanie się pionierem przemysłu tkackiego w Płocku i jego okolicach. Najważniejsze warunki miasto już dziś posiada: wodę wodociągową i opał w postaci torfu, którego znaczne pokłady znajdują się naokoło Płocka; jeżeli zaś tego za mało będzie, węgiel brunatny z kopalń Krośniewickich pod Kutnem da tani i dobry opał. Rozwińmy tę myśl genialną do końca: Warunki przyrodzone dla powstania tkactwa fabrycznego Płock już ma, brak mu tylko inicyatywy i ducha przedsiębierczości. Ale „pionierem“ ma być zakład dla dziewcząt upadłych. — Snujmy dalej ten ciekawy sofizmat. — Żeby ten zakład mógł łatwiej spełnić spodziewane posłannictwo, pożądanem być musi, żeby się jaknajbardziej rozwinął, tj. u warsztatów swej fabryczki skupił jaknajwięcej robotnic — „magdalenek,“ którym przypada właściwa rola „pionierek“ w powołaniu do życia przemysłu płockiego. Gdyby więc ta skromna instytucya filantropijna chciała stać na wyżynie związanych z nią przez korespondenta nadziei, musiałaby odwołać się do uwodzicieli płockich i przemówić do nich w te słowa: „Uwódźcie mi jak najwięcej dziewcząt z ludu, a ja wam ich znojem pokutniczym użyźnię grunt dla przemysłu.“ I gdyby przypadkiem zakład ten rozbudził w sennej prowincyi życie przemysłowe, w kronikach przyszłego przemysłu w Płockiem byłoby zapisanem, że piastunkami jego były: prostytucya i filantropia. Byłoby to godne naszej samorzutności uzupełnienie genezy przemysłu łódzko-sosnowieckiego, któremu rodzicami są także pierwiastki przygodne: Niemcy i cła.

Piotrków. Grono kupców piotrkowskich postanowiło zaprowadzić w Piotrkowie jarmarki na konie, odbywane dwa razy do roku w stałych terminach. Inicyatorowie wystąpili już do gubernatora piotrkowskiego z odpowiedniem podaniem. Bliskość granicy, kolej żelazna, a przedewszystkiem geograficzne położenie miasta w stosunku do innych części kraju, wróżą, zdaniem *Tygodnia*, jarmarkom piotrkowskim pewne powodzenie. — Roboty około urządzenia oświetlenia gazowego w Piotrkowie są już na ukończeniu. Gazownia pod dachem, a na ulicach rozpoczęto ustawianie latarń. Dopełniono także instalacyi gazu w wielu posesyach prywatnych, sklepach, restauracyach i lokalach publicznych. — W dniu 2 b. m. w okolicach pow. Brzezińskiego srożyły się niezwykłe burze. Jedna, połączona z gradem, poczyniła w samych Brzezinach, w ogrodach i polach na kilkanaście tysięcy rs. szkody, przyczem mniej lub więcej szkodliwie oddziałała na kilka okolicznych majątków. Druga w postaci suchej trąby powietrznej porywała stojące w snopach zboże, a głównie pokoszone grochy i rozniosła je po okolicy; w majątku Kraszew skręciła i w kawałki połamała pół stodoły. Pomimo spadłych tu i owdzie gwałtownych deszczów, wpływ ich na spiekłą i wysuszoną ziemię był bardzo mały. Obecnie panujące suche wiatry doszczętnie spaliły okopowe i łubiny, które pod ich wpływem, utraciły prawie całe swoje strąki. — Sporządzony przez inżeniera Rusockiego projekt budowy kolei konnej z Sulejowa do Piotrkowa, Stanisław Psarski, właściciel majątku Janków, w pow. Opoczyńskim, przedstawił rządowi gubernialnemu piotrkowskiemu do zatwierdzenia.

Radom. Egzaminy wstępne do gimnazyum męskiego w Radomiu będą się odbywały od dnia 14 do 16 p. m., egzamina powtórne (poprawki) i zapis uczniów od 5 do 11-go; lekcye rozpoczną się 24 go. Miejsca wolne są tylko w klasie przygotowawczej, 7 ej i 8 ej. Dotychczasowi wychowańcy i nowi kandydaci, nie mający w Radomiu rodziców i bliskich krewnych, będą pomieszczeni w urządzonym przy gimnazyum internacie, za opłatą 220 rs. rocznie, w dwóch ratach półrocznych po 110 rs. — Dnia 8-go p. m. odbędzie się wystawa koni z nagrodami w medalach i gotówce. — Kancelarya wydziału ruchu drogi Dąbrowskiej w Radomiu jest już połączona telefonem ze stacyami: Bzin (Skarżysko), Iwangród i Garbatka. W niedalekiej przyszłości taż kancelarya otrzyma połączenie telefoniczne ze stacyami: Sędziszew, Ostrowiec, Koluszki, Strzemieszyce i Końskie. — Młyn żytni w Firleju przerabiają na pszenny. Przerabiać ma do 50,000 korcy pszenicy rocznie, a żyta przeszło 18 tysięcy korcy. Tutaj również w niedługim czasie rozpocznie działalność fabryka farb ziemnych. Będzie to pierwsza tego rodzaju fabryka w gubernii Radomskiej na wielką skalę. — W okolicach Ś-to-Krzyskich żniwa już ukończone. Zbiór ozimin obfity w kopy, w ziarno nieszczególny. Jarzyny, a szczególnie jęczmień i owies, mniej, niż średnie. Koniczyny nasienne i na siano także niebogate. Ziarno nikłe i drobne. Kartofle, można się spodziewać, że dadzą plon obfity. O zawarciu większych tranzakcyj jeszcze nie słychać, i dlatego ceny oznaczyć nie można. — W ostatnich czasach w pow. Opoczyńskim rozparcelowano dwa większe majątki ziemskie, a mianowicie: Sulgostów, własność p. Chądzyńskiego, i Służno, własność Komitza.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W gub. Lubelskiej przy pomocy lubelskiego oddziału Banku włościańskiego włościanie nabyli w Styczniu 277 morgów ziemi, w Busowce 467, w Woli Trzydnieckiej 205 i w Annopolu 314 morgów.

— Do Rady państwa wniesiono projekt, zaprowadzający pewne zmiany w ulgach dla wychowańców zakładów naukowych przy spełnianiu powinności wojskowej. Według owego projektu, ulgi mają być następujące: 1) ogólny termin służby dla osób nieposiadających żadnego stopnia naukowego, 5 lat służby czynnej i 13 w zapasie; 2) terminy skrócone: a) dla popisowych, posiadających świadectwa ze szkół czwartego rzędu — 4 lata służby czynnej i 14 w zapasie; b) dla posiadających świadectwa ze szkół wyższych, średnich i zaliczonych do 3-go rzędu — 3 lata czynnej i 14 w zapasie; c) dla nauczycieli szkół 3 i 4 rzędu — 1 rok czynnej i 17 w zapasie; d) dla ochotników, którzy ukończyli kurs w wyższych i średnich zakładach naukowych, a także ze świadectwami 6 klas gimnazyów, szkół realnych i innych równoznacznych zakładów, lub którzy zdali odpowiedni temu stopniowi egzamin — 1 rok czynnej i 12 w zapasie. Zwłoki dla dokończenia edukacyi udzielane będą: a) dla zakładów wymienionych pod p. 1 i 2 do lat 22—25; b) w wyższych zakładach naukowych dla osób, które ukończyły średnie zakłady przed dojściem do roku popisowego, do lat 25-ciu, a w wyjątkowych wypadkach również dla kształcących się na nauczycieli średnich i technicznych zakładów — do lat 27-u, a dla wychowańców seminaryów duchownych i kształcących się na profesorów — do lat 28-u.

— Minister spraw wewnętrznych, jak donoszą *Birż. Wied.*, wydał rozporządzenie, zabraniające na przyszłość reprodukowania w drukarniach, chromolitografiach itp. zakładach wyobrażeń Matki Boskiej z nazwą: „Rozmnażająca zboża.“

— Kongregacya w Rzymie rzuciła wielką klątwę na ks. Stojałowskiego.

— Z ogólnej liczby 164,371 przybyłych z Europy do Brazylii przypada na Galicyę 10,000 wychodźców.

Szkoły. Zapis do nowej szkoły handlowo-przemysłowej w Warszawie, p. Ronthalera, rozpocznie się d. 1 września r. b. Dyrektor szkoły udał się do Petersburga w celu uzyskania pozwolenia na otwarcie równoległych oddziałów, albowiem napływ młodzieży jest niebywały. Uczniowie szkół rządowych mogą wstąpić do szkoły o klasę niżej z dodatkowym egzaminem z języków nowożytnych. Egzamin będzie prawdopodobnie konkursowy. Opłata roczna wynosi 100 rs.

— Szlachta żytomierska zamierza upamiętnić upływające w d. 18 września r. b. stulecie ustanowienia szlacheckich instytucyj administracyjnych przez założenie swoim kosztem średniego zakładu rolniczego naukowego w gub. Wołyńskiej.

— Do Instytutu technologicznego zgłosiło się w r. b. dwa razy więcej kandydatów, aniżeli jest miejsc wakujących.

— Na ostatniem ogólnem zebraniu członków Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w Petersburgu postanowiono zaprowadzić w koloniach wykłady pszczelnictwa.

— W Szwajcaryi w r. b. wydano patenty z ukończenia uniwersytetu 293 kobietom, a mianowicie: w Zurichu 141, Genewie 125, Lozannie 24, Bazylei 3. W tej liczbie było tylko 19 Szwajcarek.

Zdrowie publiczne. W przytułku dla paralityków przy ul. Nowowiejskiej znajduje się obecnie 95 pensyonarzy płci obojej; na tę liczbę pomieszczenie jest za szczupłe. Obecnie przystąpiono do budowy nowego pawilonu.

— Rada miejska w Londynie poleciła zburzyć z górą sto domów, w których wciąż grasują choroby zakaźne. Rozkaz ten ma być niezwłocznie w życie wprowadzony.

Koleje i komunikacye. Nowa linia tramwajowa, dawno projektowana na Powiślu, około 2 wiorst i 400 sążni długości, będzie zbudowana z inicyatywy magistratu. Linia ta zacznie się od Nowego Zjazdu przy moście i pójdzie przez ul. Dobrą, Tamkę, Solec, Aleje Jerozolimskie do Nowego Światu.

— Nadeszła z Petersburga wiadomość, iż sporządzone już plany dworca centralnego i drugiej kolei obwodowej ulegną zmianom. Przeprowadzenie toru kolejowego przez miasto przy pomocy wiaduktów nie uzyskało przychylnej opinii i polecono zmienić kierunek linii w ten sposób, iż dopiero za rogatkami jerozolimskiemi należy ją skierować w stronę Wisły. Wiadukty mają być wzniesione, lecz na obecnym torze kolei W.-W. Przedsiębiorstwo to prowadzić zamierza w dalszym ciągu spółka kapitalistów, utworzona przez S. Rohna.

— W Miedznie w pow. Częstochowskim, w Lubieniu w pow. Rawskim, i w Łazach w pow. Brzezińskim przy urzędach gminnych, oraz w osadzie Strykowie pow. Brzezińskim przy aptece K. Biegańskiego—zorganizowano czynności pocztowe, jak: sprze-

daż marek, przyjmowanie i wydawanie korespondencyi prywatnej i rządowej. Takie same czynności zorganizowano też w urzędach gminnych Przystajnia i Popów w pow. Częstochowskim.

— Na stacyi drogi żel. Nadwiślańskiej Trawniki otwarto stacyę telegraficzną dla przyjmowania depesz korespondencyi wewnętrznej.

— W tych dniach nastąpiło w Gdańsku otwarcie miejskiej kolei elektrycznej.

Wyprawy do bieguna. Wedle doniesień telegraficznych, Fritjof Nansen z wyprawy do bieguna przybył do Wardö (na północy Norwegii). Pozostawiwszy parowiec „Fram" pod 84-ym stopniem szerokości północnej, dotarł lodem do 86° 14'. Stamtąd udał się w drogę powrotną. — O drugim podróżniku do bieguna, Andrée'm, który miał cel swój osiągnąć przy pomocy balonu, krążą sprzeczne wieści: jedne, że nie udał się wcale w podróż z powodu braku sprzyjającego wiatru, inne, że wyleciał w podróż, biegun widział i już wylądował w Ameryce.

Zmarli. Otton Lilienthal, inżenier i właściciel fabryki rur do kotłów parowych, wynalazca najudatniejszego z dotychczasowych przyrządów do latania, zginął wskutek upadku z pomienionym przyrządem skrzydlatym, pod Berlinem.



Stałemu prenumeratorowi. Zadań do tej książki nie ma. Istnieją inne: St. Tomasa *Zbiór zadań arytm.*, k. 50; S Dicksteina *Arytmetyka w zadaniach*, cz. I k. 60, II k. 80, III k. 70.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Августа 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.